Fot. Danuta Piotrowska

W numerze strona

Nad piśmiennictwem Józefa Nyki 536
(Dziękujemy za udostępnienie zdjęć pochodzących z arch. rodzinnego)
125. rocznica pierwszego wejścia na Tupungato w Andach 544
Tatrzański list Władysława Malinowskiego 566
Spotkanie Wegantów w Rzędkowicach 570
Mountaineering Day w Waszyngtonie 571
WEGA – Suplement 572

Biuletyn WEGA jest publikacją niekomercyjną, związaną z *Wielką Encyklopedią Gór i Alpinizmu*. Wszystkie numery są do dyspozycji w Jagiellońskiej Bibliotece Cyfrowej z dostępem ograniczonym do terminali na terenie biblioteki. Można pobrać je także ze strony Wydawnictwa STAPIS: www.stapis.com.pl

Małgorzata Kiełkowska
mjkmountains@aol.com

Nad piśmiennictwem Józefa Nyki

Część druga – czasopiśmiennictwo

Tatry

Nie sposób w krótkim szkicu objąć całokształt tej części dorobku Józefa Nyki, na który składają się liczne studia, artykuły i wreszcie drobne notatki, opublikowane w kilkudziesięciu najważniejszych, krajowych i zagranicznych, magazynach alpinistycznych oraz turystyczno-krajoznawczych i sportowych. Jak wspomina sam Autor, publicystykę dotyczącą alpinizmu, turystyki i krajoznawstwa zaczął uprawiać w 1949 roku i pozostał jej wierny przez ponad 70 (!) lat. Ogrom i rozmaitość ogłoszonych tekstów nie pozwala na głębszą syntezę, nie mówiąc o próbie sporządzenia bibliografii. Na potrzeby tego subiektywnego przeglądu wybraliśmy kilka periodyków (w porządku chronologicznym), z którymi współpraca wydaje nam się najbardziej znacząca. W tym miejscu koniecznie trzeba podkreślić, jak solidny fundament polskiego góroznawstwa stworzył człowiek-instytucja, Józef Nyka.

„Turysta”

W 1957 roku przyszły redaktor naczelny „Taternika” nawiązał bliską współpracę z czasopismem turystyczno-krajoznawczym „Turysta”, wydawanym w latach 1952 – 1961, początkowo jako miesięcznik, a od 1957 roku ukazującym się dwa razy w miesiącu. Na łamach „Turysty” Nyka

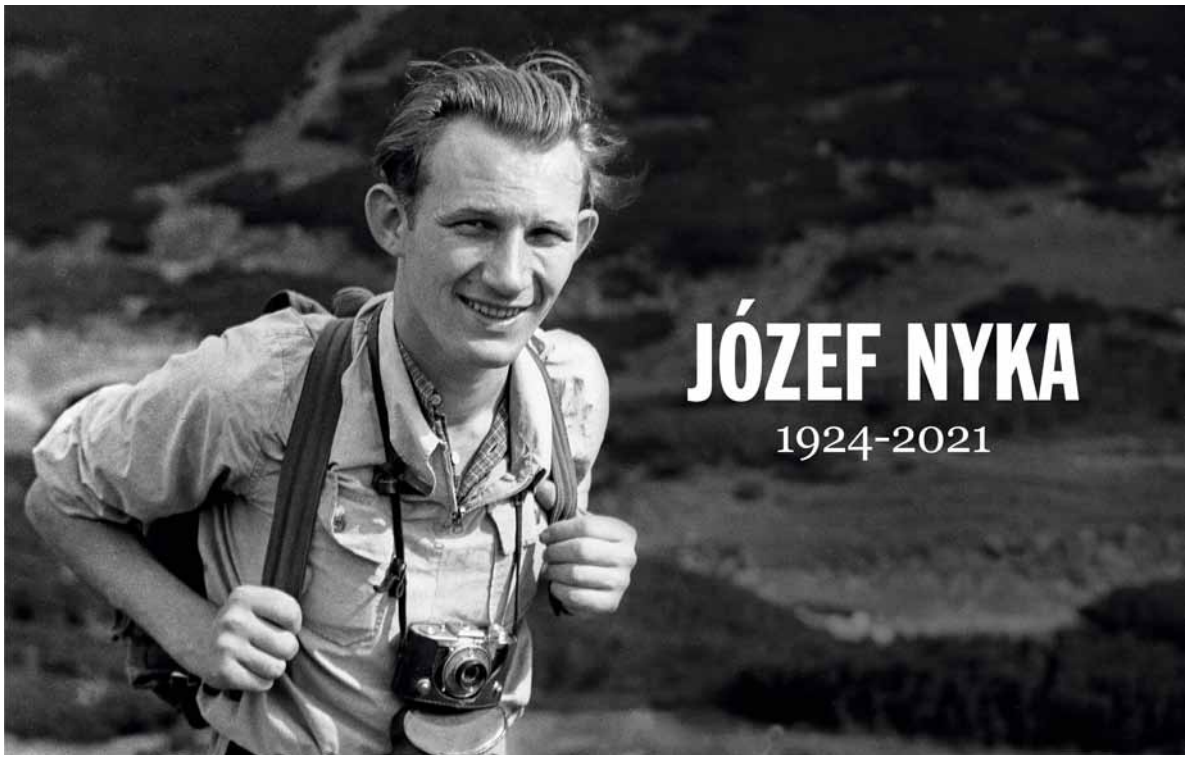

zamieścił około 20 większych artykułów. Ważna publikacja ukazała się drukiem w czerwcu 1957 (nr 11/1957, *Czterej wspinacze i myszka. Środkiem Kazalnicy w zimie*). To nowatorska w formie relacja z wyczynu, jakim było zimowe przejście drogi Łapińskiego i Paszuchy. Członkom redakcji ten tekst wydawał się zbyt długi. Konflikt z autorem udało się jednak szczęśliwie zażegnać i artykuł został minimalnie przycięty. Miał potem dwa przedruki („Horolezec" 8/1957, tłumaczenie M. Baron oraz „Magazyn Polski" 1957). Do ważnych należy również tekst *80 lat Mięguszowieckiego* (nr 13/1957), a ustalenia Autora odnośnie śmiałych prób zdobycia tytułowego szczytu przez austriackiego lekarza i przyrodnika Franza Herbicha w 1832 roku były na tyle rewelacyjne, że Witold H. Paryski wyraził niezadowolenie z powodu nieudzielenia pierwszeństwa publikacji „Taternikowi" (por. *Dr Franz Herbich w Tatrach*, „Górska Biblioteczka Historyczna", zeszyt 43 (63), Warszawa 2019).

Z tematów alpinistycznych, prócz wspomnianego już tekstu o zimowym przejściu drogi Łapińskiego i Paszuchy na Kazalnicy, ukazały się m.in. artykuły o udanym polskim sezonie w Alpach w 1957 roku (nr 17/1957) i planowanej wyprawie w Hindukusz (nr 12/1960). Wśród materiałów dotyczących historii turystyki zwracają uwagę artykuły o mało znanym Robotniczym Klubie Turystycznym, powstałym w 1912 roku (nr 23-24/1958), i tatrzańskiej wycieczce Beaty Łaskiej (nr 2/1960).

Wśród innych publikacji znajdziemy analizę wypadków lawinowych w Tatrach (nr 4/1957 – to bodaj pierwszy tekst Nyki na łamach „Turysty"), sylwetki Mieczysława Szczuki (nr 18/1957). Warty przypomnienia jest opis świąt Bożego Narodzenia w 1944 roku (nr 23-24/1957). Ciekawostką jest fakt, że ten ostatni artykuł jest sygnowany, prócz imienia i nazwiska, również akowskim pseudonimem „Szpis". To chyba podzwonne kończącej się odwilży politycznej. Atmosferę innych świąt oddaje opis morskoocznych „lanych poniedziałków" (nr 7/1959).

Współpracując z „Turystą", Józef Nyka publikował także w wielu innych polskich czasopismach i gazetach. Jego artykuły i notatki ukazywały się najczęściej w „Słowie Powszechnym", przede wszystkim w kolumnie „Cztery strony Polski", redagowanej przez przyjaciela i współpracownika Nyki, Adama Nowaka (Adama Chowańskiego).

„Taternik"

Od samego początku pismo miało wyjątkowe szczęście do znakomitych redaktorów naczelnych. To cała plejada bardzo dobrych wspinaczy i wytrawnych znawców tematyki górskiej. Przypomnijmy zatem takie nazwiska, jak: Kazimierz Panek, Roman Kordys, Mieczysław Świerz, Jan Alfred Szczepański, Zbigniew Dąbrowski, Witold H. Paryski i wreszcie Józef Nyka, najdłużej piastujący funkcję redaktora naczelnego „Taternika" i niewątpliwie jego najwybitniejszy sternik. Po prawie trzydziestoletniej epoce Nyki wśród kolejnych redaktorów należy wspomnieć przede wszystkim Janusza Kurczaba. Dzieje „Taternika" i jego redaktorów przypomniał Józef Nyka w świetnym artykule *60 lat, 200 numerów*, uzupełnionym publikacją *Ludzie Taternika*, a zamieszczonym w numerze T. 3/1968. Ale ten artykuł ma poważny brak. Autor podsumowania zapomniał o sobie. Dała tu znać o sobie jego wyjątkowa skromność.

Po latach, na łamach bratniego „Taterniczka" (nr 36/1989) Ryszard Wiktor Schramm opublikował artykuł: *Zapomniany, skromny jubileusz*. Była to laurka poświęcona Józefowi Nyce, napisana z okazji 25. rocznicy redagowania przezeń „Taternika". Schramm słusznie podejrzewał, że

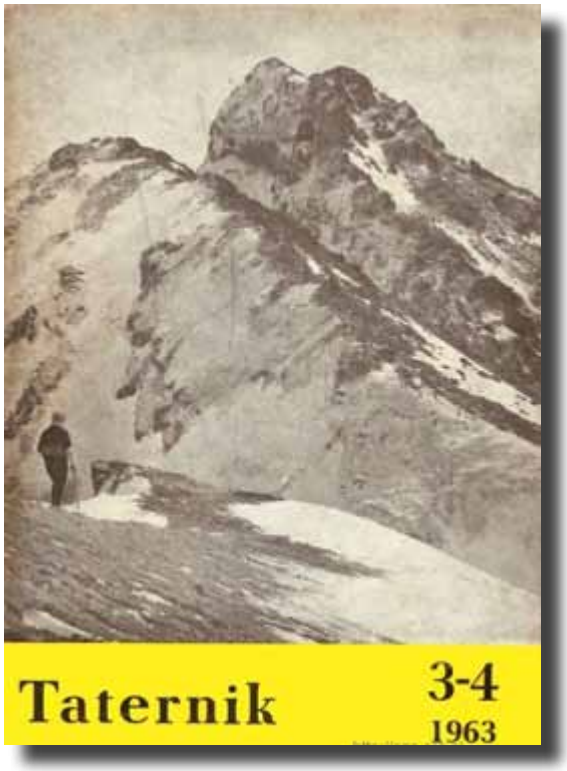

jego artykuł nie ma szans na druk w „Taterniku" i skorzystał z gościny Krzysztofa Barana, redaktora „Taterniczka". Warto zatem przypomnieć, że na zebraniu plenarnym Zarządu Klubu Wysokogórskiego 5 maja 1963 roku redakcję „Taternika" postanowiono powierzyć Józefowi Nyce, co formalnie stało się faktem 1 lipca tegoż roku (choć obowiązki objął szybciej, szykując już na 20 czerwca numer 2-3/1963). Była to jego pierwsza praca etatowa po 11 latach utrzymywania się z honorariów autorskich (po tym jak 1 maja 1952 roku został z powodów politycznych usunięty z posady w Centralnym Urzędzie Szkolenia Zawodowego). Taka namiastka stabilizacji w obliczu powiększającej się rodziny była zapewne bardzo pożądana. Szkoda, że w tamtych realiach nie wiązało się to z godziwym wynagrodzeniem.

W latach 1963−1991 Nyka zredagował 81 zeszytów i niewątpliwie jego zasługą był fakt, że „Taternik" był zaliczany do dziesięciu najważniejszych czasopism alpinistycznych na świecie (!). Największą bolączką redaktora był brak papieru. W okresie niebywałego rozwoju polskiego alpinizmu, kiedy wyprawy w góry egzotyczne wyjeżdżały jedna za drugą, „Taternik" musiał zadowolić się 192, a od 1981 roku 96 stronami. Wymagało to niewyobrażalnej ekwilibrystyki i bezlitosnego cięcia materiałów zalegających w tekach redakcyjnych. A mimo to udało się jeszcze publikować m.in. ciekawe artykuły tatrzańskie, bardzo pożyteczne monografie ścian, kroniki himalajskie Zbigniewa Kowalewskiego, nowinki sprzętowe, omawiać ważniejsze wyda. rzenia związane z szeroko rozumianą kulturą górską, relacjonować działalność klubową (KW oraz PZA) i wreszcie i prowadzić ten najbardziej smutny dział „Taternika", jakże taktownie nazwany „Pożegnaniami".

Wielki talent dziennikarski oraz wyjątkowo rzetelna i głęboka wiedza zostały dostrzeżone przez Jana Alfreda Szczepańskiego w corocznych, bardzo przychylnych recenzjach na łamach „Wierchów".

Wśród setek artykułów Józefa Nyki ogłoszonych w „Taterniku", oprócz licznych podsumowań polskich osiągnięć w górach świata, komentarzy dotyczących nowych trendów w alpinizmie światowym, biogramów i recenzji, zawsze było miejsce na tematy związane z Tatrami. Na szczególne wyróżnienie zasługują dwa artykuły dotyczące historii kartografii tatrzańskiej. *Nieznany obraz kartograficzny Tatr i Podtatrza* (T. 3/1973) i *Krywań Anno Domini 1761* (T. 2/1976) to rewelacyjne teksty o bezcennych mapach rękopiśmiennych, odnalezionych w wiedeńskim Kriegs-Archiv. Odkrycia te niewątpliwie podważyły dotychczasowe ustalenia badaczy obrazu Tatr na mapach.

Nie zabrakło też tekstów dotyczących historii taternictwa i nazewnictwa tatrzańskiego. Na szczególne wyróżnienie zasługuje artykuł *Z zapomnianych tur tatrzańskich* (T. 3/1974), w znacz-

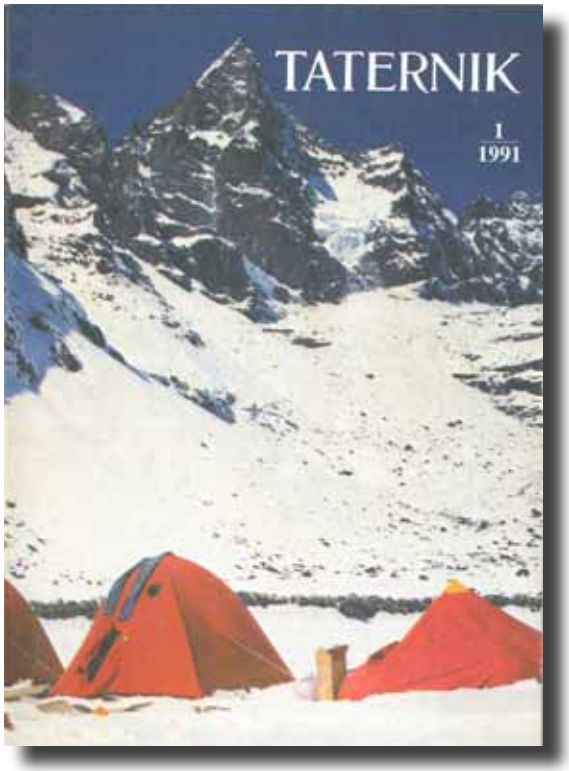

ny sposób poszerzający naszą wiedzę o XIX-wiecznej eksploracji Doliny Rybiego Potoku. Liczne monografie ścian tatrzańskich, które pojawiały się na łamach „Taternika", były opatrzone przez Józefa Nykę treściwymi komentarzami dotyczącymi nazewnictwa danego masywu.

Prawie trzydziestoletnie redagowanie „Taternika" niewątpliwie wpłynęło na wczesne zakończenie bogatej w znakomite dokonania kariery wspinaczkowej i w znacznym stopniu ograniczyło własną twórczość literacką.

Wspomniane wyżej problemy z papierem oraz bogactwo materiałów informacyjnych spowodowały, że Nyka usilnie poszukiwał innych możliwości publikowania. Będąc po studiach dziennikarskich, miał sporo znajomych w rozmaitych redakcjach. Najbardziej owocna okazała się współpraca z miesięcznikiem turystyczno-krajoznawczym „Gościniec", który od 1975 roku był redagowany przez Tadeusza Rycerskiego, kolegę ze studiów dziennikarskich. Od lipca 1982 do lipca 1991 roku, tj. do zamknięcia pisma, ukazało się 107 odcinków cyklu nazwanego „Spacerkiem po skale". Nazwa kolumny została zapożyczona od nieco zapomnianych opowiadań wspinaczkowych Janusza Opyrchał-Bojarskiego. Autorem większości notatek był Józef Nyka. Dominowała tematyka wysokogórska, do „Gościńca" niejednokrotnie trafiały materiały niemieszczące się na łamach „Taternika". Pełną historię rubryki „Spacerkiem po skale" wraz z zawartością wszystkich numerów można znaleźć w artykule jej twórcy: *Alpinizm w miesięczniku Gościniec*, zamieszczonym na stronie internetowej „Z górskiej półki".

Krakowski „Taterniczek" również użyczał miejsca redaktorowi „Taternika". Na szczególną uwagę zasługuje spory artykuł *Po czarnej serii w Karakorum*, będący wnikliwą analizą 13 wypadków śmiertelnych na zboczach K2 w 1986 roku, wzbogacony sformułowaniem bardzo konkretnych wniosków, mających zapobiec przyszłym tragediom („Taterniczek", wrzesień 1988). W tym samym roku na łamach śląskiego „Bularza", wydanego z okazji I Przeglądu Filmów Górskich w Katowicach, ukazał się ciekawy tekst Józefa Nyki: *Alpinizm współczesny – tendencje i nurty*, omawiający główne problemy i przyszłość ruchu wspinaczkowego w kończącym się XX wieku.

„Wierchy"

W 2023 roku szacowne „Wierchy" będą obchodzić setną rocznicę powstania. W wydanych 86 tomach tej prawdziwej skarbnicy wiedzy o górach nie mogło oczywiście zabraknąć tekstów Józefa Nyki, który związany był z tym rocznikiem także jako członek kolegium redakcyjnego (w latach 1977 – 1992). Sam początek obecności Józefa Nyki na łamach „Wierchów" to rok 1955

i dwie jego tatrzańskie notatki w Kronice. Rok wcześniej, także w Kronice, pomieszczono krótkie recenzje dwóch jego publikacji: *Doliny Roztoki i Pięciu Stawów* i *Na szlaku Lenina w Tatrach* (rocznik 24:1955). Pierwszym obszernym studium zamieszczonym w „Wierchach" (rocznik 29:1960) był artykuł *Beata Łaska – pierwsza turystka tatrzańska*. Już wtedy Autor powątpiewał w lansowaną przez wielu tatrologów wersję, jakoby celem wycieczki odbytej w Zielone Świątki 1565 roku był Zielony Staw Kieżmarski.

Wydarzeniem pierwszej rangi w dziejach literatury tatrzańskiej było ukazanie się w 1973 roku *Encyklopedii tatrzańskiej* Zofii Radwańskiej-Paryskiej i Witolda H. Paryskiego. Znakomitą recenzję tego dzieła Józef Nyka zamieścił w 43 tomie Wierchów. W logiczny i bardzo wyważony sposób zostały omówione spore niedociągnięcia encyklopedii oraz przedstawione bardzo konkretne postulaty, które miały posłużyć w ewentualnych kolejnych edycjach, skądinąd bardzo, dobrej i długo oczekiwanej książki.

Na dalsze przekrojowe artykuły musieliśmy czekać ponad 40 lat. Dopiero w obecnym stuleciu rezultaty dociekań i studiów Józefa Nyki zagościły na dobre na łamach „Wierchów". Ta owocna współpraca była też niewątpliwie zasługą dra Wiesława A. Wójcika, długoletniego redaktora naczelnego „Wierchów" i wielce zasłużonego tatroznawcy i edytora.

Pierwsza grupa artykułów dotyczyła nazewnictwa tatrzańskiego i objęta była tytułem *Skąd te nazwy?*. To prawdziwe perełki z dziedziny toponomastyki, bardzo czasochłonne i wymagające ogromnej wiedzy, benedyktyńskiej cierpliwości i doświadczenia. Możemy zatem studiować genezę nazw takich szczytów i przełęczy:

Spiczasty wzięty – perypetie z nazwą Ostrego („Wierchy" 68:2002);
Cicha, Wierchcicha, Cichy Wierch („Wierchy" 70:2004);
Ostra i Ważecka Turnia („Wierchy" 71:2005);
O powrót Ostredoka („Wierchy" 72:2006);
Tetmajer i Gierlach („Wierchy" 74:2008);
Chałubińskiego Szczyt i Wrota („Wierchy" 75:2009).

Kilka obszerniejszych prac Józefa Nyki pomieszczonych w „Wierchach", będących czasem nieco zmienioną wersją broszur wydawanych w ramach „Górskiej Biblioteczki Historycznej", to niekiedy absolutnie pionierskie i bardzo ważne opracowania. *Niemiecki przemysł wojenny u stóp Tatr* („Wierchy" 81:2015) to dzieje tartaków firmy Holzbau Aktien Gesellschaft z Wrocławia (w skrócie Hobag), pracujących na Podhalu na potrzeby wojenne III Rzeszy. Dodajmy tylko, że Józef Nyka był zatrudniony w jednym z nich, w Czarnym Dunajcu, a drewno pochodziło między innymi z Tatr.

Dwa kolejne studia poświęcone zostały nazewnictwu tatrzańskiemu. *Nazewnicze nagrobki w Tatrach* (Wierchy 82:2016) dotyczą tych toponimów, które upamiętniają wypadki w górach (poszukiwacze skarbów, myśliwi, turyści i taternicy), a *Tatry – nazwy samosiejki* to rzecz o nazwach z niewyodrębnionej do tej pory kategorii owych samosiejek, czyli nazw samorodnych, powstałych samorzutnie. Nie są to jednak nazwy ludowe, lecz związane z działalnością naukowców, turystów i taterników („Wierchy" 84:2018). I wreszcie kapitalny tekst o XVIII-wiecznych panoramach tatrzańskich Buchholtzów: *Delineatio & Nomenclatura Montium Carpathoricum* („Wierchy" 83:2017).

Historii taternictwa dotyczy rozprawa *Tetmajer – taternik znany i nieznany* („Wierchy" 76:2010) oraz przyczynek *Tak zginął Papirus* („Wierchy" 81:2015).

Lata okupacji, spędzone przez Józefa Nykę pod Tatrami, i jego partyzancka przeszłość spowodowały, że tematyka wojenna na Podhalu była mu bardzo bliska. W swoich publikacjach zawsze starał się tamte dramatyczne wydarzenia sprowadzić do właściwego wymiaru. Toteż na łamach „Wierchów" pojawił się m.in. artykuł: *Wojenne pożegnania ojczyzny,* o uciekinierach, którzy nie korzystali z pomocy wyspecjalizowanych kurierów („Wierchy" 79:2013), oraz *Goralenvolk – przyczynki*, tekst, zawierający cenne uzupełnienia do książki Wojciecha Szatkowskiego („Wierchy" 78:2012).

I wreszcie ostatni artykuł, niestety imię i nazwisko autora otoczone jest już czarną obwódką. Poświęcony jest on tak obecnie szeroko dyskutowanym zmianom klimatycznym. *Góry białe, góry zielone* („Wierchy" 85:2019) to świetnie udokumentowany i jak zwykle wyważony tekst o niestałości klimatu, poparty wieloma ciekawymi przykładami z Tatr. Na uwagę zasługują załączone przypisy, które świadczą o niebywałej erudycji i swadzie w poruszaniu się w gąszczu XIX-wiecznych niskonakładowych periodyków.

„Głos Seniora"

W latach 1980-2016 ukazywało się jedno z najciekawszych czasopism górskich w historii naszego górsko-alpinistycznego piśmiennictwa. Był to wydawany prywatnym sumptem „Głos Seniora". Jego genezy należy szukać w potrzebie przekazywania rozmaitych wiadomości z szeroko rozumianej tematyki górskiej, zrazu przyjaciołom, weteranom ruchu wspinaczkowego, później szerszemu ogółowi. Korzeni tego pisma można też upatrywać w wychodzącym w latach 1969–1988 i redagowanym przez Nykę „Biuletynie Informacyjnym" Klubu Wysokogórskiego, a później Polskiego Związku Alpinizmu. Zapewne permanentny brak miejsca w „Taterniku", a potem rozstanie z redakcją, to także były impulsy do wydawania prywatnego pisma, przekazywanego seniorom nieodpłatnie. Pod koniec lat 80. XX w. „Głos Seniora" stał się miesięcznikiem, a już w 1997 roku pojawił się też w Internecie, co w znaczny sposób zwiększyło krąg odbiorców (wcześniej czytelnicy otrzymywali egzemplarze pisma pocztą). Pełną historię „Głosu Seniora" i co najważniejsze napisaną przez jego twórcę, znajdziemy w numerach: 07/2000 i pożegnalnym 12/2016. Sugestię kontynuacji „Głosu Seniora" podjęła znana alpinistka – Anna Okopińska, która od 2017 roku wydaje „Echa Gór".

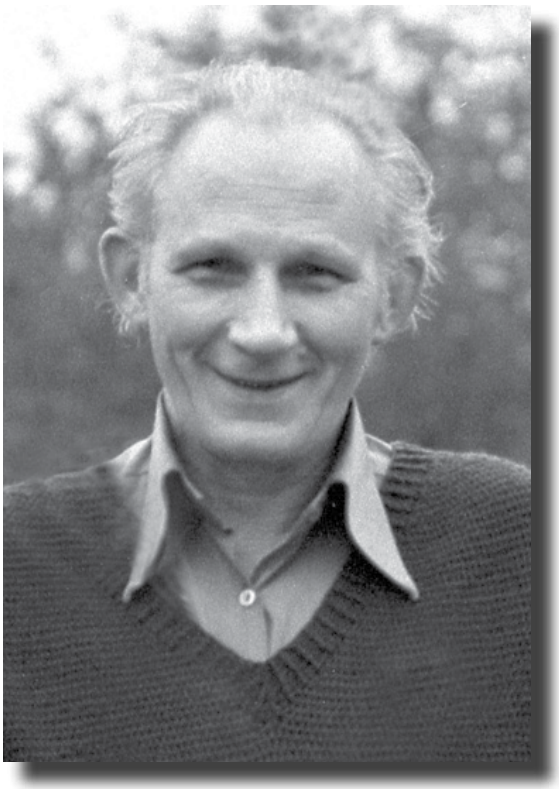

Autorem zdecydowanej większości artykułów i notatek był Józef Nyka, ale miał on też kilku stałych współpracowników, m.in.: Władysława Janowskiego, Andrzeja Skłodowskiego, Wojciecha Wiśniewskiego i Jerzego Walę. Nyka pisał na rozmaite tematy i nie sposób w tym krótkim

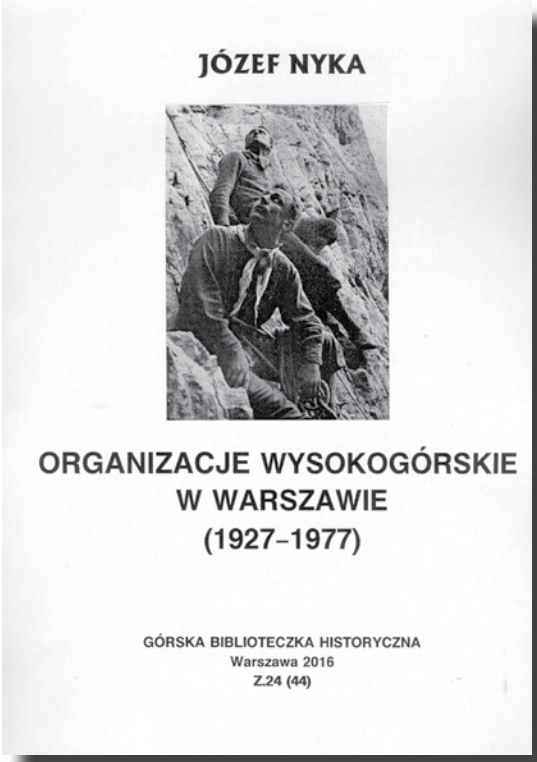

omówieniu wymienić te choćby najistotniejsze. Niemniej można wyodrębnić parę grup tematycznych. Do najważniejszych należą nabite treścią i świetnie zredagowane biogramy zmarłych alpinistów i ludzi związanych z górami. Warto pomyśleć o wydaniu tych materiałów w osobnym tomie, co bardzo wydatnie wzbogaciłoby naszą biografistykę górską,

I tutaj bardzo często pojawiały się artykuły dotyczące nazewnictwa tatrzańskiego. Redaktor objął je znanym nam już z „Wierchów" tytułem *Skąd te nazwy?*. Józef Nyka był nieprzeciętnym znawcą tej bardzo skomplikowanej tematyki. W przewodnikach po Gorcach i Pieninach posługiwał się siatką nazw, które sam zebrał w terenie. To rezultat bardzo czasochłonnych i wnikliwych studiów terenowych, opartych na ścisłej współpracy z miejscowymi góralami. W Tatrach Wysokich sytuacja była inna, bo tu duża część nazw została nadana przez taterników. Sam Nyka był zresztą w tej materii bardzo powściągliwy i jego dorobek nazwotwórczy ogranicza się do zaledwie kilkunastu nazw – drobnostka w porównaniu z Paryskim czy Cywińskim.

Kolejny blok tematyczny to artykuły poświęcone dziejom turystki i taternictwa. Te oryginalne i bardzo cenne opracowania są niezwykle ważnymi przyczynkami do dziejów poznania Tatr. Stanowią one niejako kontynuację *Materiałów do dziejów taternictwa* ogłaszanych w dawnych rocznikach „Taternika", w latach 1928–1961. Józef Nyka z dużą ostrożnością podchodził do zestawień nazwisk i dat zdobycia szczytów i przełęczy tatrzańskich, zdając sobie sprawę, że wcześniejsze wejścia są słabo udokumentowane, a relacje o nich niekiedy miały charakter rękopiśmienny lub w ogóle nie doczekały się publikacji.

Powracając do pierwszej odnotowanej wycieczki tatrzańskiej w artykule *Beata Łaska – 450 lat temu*, w bardzo logiczny sposób przekonuje, że celem wycieczki był rejon dzisiejszego Smokowca, a nie Zielony Staw Kieżmarski (GS 06/2015). Nawiązując do znanego studium Juliusza Zborowskiego *Raczyli odwiedzić Tatry*, Nyka przypomina postać sławnego badacza Afryki – Heinricha Bartha, który w 1862 roku zachwycał się Tatrami (Dolina Kościeliska, Gąsienicowa, Zawrat, Dolina Pięciu Stawów i Morskie Oko) i wszedł na Łomnicę (GS 03/2011). W artykule *Wierchu, ty wierchu Lodowy* (GS 03/2014) uszczegóławia informacje dotyczące historii pierwszego wejścia na Lodowy, a *Brat Cyprian na Hawraniu?* (GS 02/2010) to przekonujący wywód, że znany mnich z Czerwonego Klasztoru nie zdobył najwyższego szczytu Tatr Bielskich około 1760 roku, lecz odbył przemiłą wycieczkę na Rabsztyn w Małych Pieninach. To tylko niektóre ustalenia, rzucające nowe światło na historię taternictwa.

Poza tym na łamach „Głosu Seniora" możemy znaleźć setki mniejszych i większych artykułów i notatek, które dotyczą alpinizmu polskiego i światowego, sprawozdań z wypraw i wakacyjnych

wędrówek po górach całego świata, aktualności tatrzańskich, wydarzeń kulturalnych (wystawy, festiwale), nowości szeroko rozumianej literatury górskiej i wielu innych zjawisk związanych z górami. Niektóre opracowania i materiały z uwagi na swoją objętość nie miały szans na zamieszczenie w czterostronicowym „Głosie Seniora" i stąd pojawił się w 1997 roku pomysł powołania „Biblioteczki Historycznej Głosu Seniora", później, od numeru 21 w 2006 roku, nazwanej „Górską Biblioteczką Historyczną". Do 2020 roku ukazało się łącznie 65 zeszytów, większość z nich jest dostępna w Internecie. Twórca zeszytów opracowywał je praktycznie do końca życia, co świadczy o jego niebywałej sprawności intelektualnej i niespożytych siłach witalnych. Szczegółowe omówienie tej wyjątkowo wartościowej inicjatywy wydawniczej, wraz ze spisem tytułów, zamieszczono w internetowym Nieregularniku wydawanym przez Małgorzatę i Jana Kiełkowskich (nr 10/2019), a następnie w 29 tomie rocznika „Prace Pienińskie" (2019).

Czasopisma obcojęzyczne

Przez kilka dekad Józef Nyka był korespondentem bez mała 40 zagranicznych czasopism alpinistycznych i turystycznych. Były to m.in.: najbardziej cenione roczniki, takie jak „American Alpine Journal" i „Himalayan Journal", opiniotwórcze miesięczniki i kwartalniki – angielski „Mountain", zachodnioniemieckie „Bergsteiger" i „Alpinismus", francuski „La Montagne", hiszpańskie „Peñalara" i „Pyrenaica", japoński „Iwa to Yuki". Bardzo ożywiona była współpraca z czasopismami wschodnioeuropejskimi, zwłaszcza z bułgarskim „Echem", słowackim „Iamesakiem" oraz radzieckim „Westnikiem Gor". Redaktor „Taternika" opublikował setki artykułów dotyczących głównie osiągnięć polskiego alpinizmu, relacjonował też sukcesy Słowaków, Czechów, Rosjan i Słoweńców. Jak sam wspominał, w japońskim „Iwa to Yuki" miał pod opieką całą pozaazjatycką biografistykę.

Dla popularyzacji na świecie imponującego dorobku polskich wspinaczy miało to pierwszorzędne znaczenie. W miarę upływu lat autorytet Józefa Nyki, jako kronikarza i eksperta światowego alpinizmu, był coraz większy. Doceniano go na całym świecie. Nazwisko redaktora „Taternika" pojawiało się też w niezliczonych publikacjach książkowych, w których dziękowano za rzeczowe konsultacje i merytoryczne uwagi. Dla przykładu w bibliografii Mount Everestu Audrey Salkeld i Johna Boyle'a *Climbing Mount Everest. The Bibliography* (1993) literaturę polską i krajów słowiańskich opracował Józef Nyka, dzięki czemu jest ona kompletna i pozbawiona przykrych i jakże typowych przekręceń słowiańskich nazwisk.

Wyrazem uznania kompetencji i niepodważalnej wiarygodności Józefa Nyki było powierzenie jego osobie redakcji biuletynu Komisji Wypraw UIAA „ExpeDoc". To ważne źródło dla historyków alpinizmu wychodziło w niewielkim nakładzie w języku angielskim w latach 1989–1996 i było rozprowadzane wśród członków Komisji Wypraw.

Na zakończenie niech mi będzie wolno zacytować słowa Grzegorza Głazka zamieszczone w pamiątkowym wydawnictwie poświęconym Józefowi Nyce. „Był gigantem. Nie tylko piśmiennictwa i taternictwa, ale i wiadomości, wiedzy, rozeznania, łączności miedzy pokoleniami ludzi gór. Życzliwym gigantem".

Gorące podziękowania kieruję pod adresem Moniki Nyczanki, która wzbogaciła tekst rozmaitymi informacjami, poprawiając równocześnie moje potknięcia.

Marek Maluda

RZECZY WIELKIE I MAŁE W ALPINIZMIE

125. rocznica pierwszego wejścia na Tupungato (6570 m; WEGA, t. IV s. 746) w Andach

W kwietniu 2022 roku minęła 125 rocznica pierwszego wejścia na Tupungato, lodowcowy szczyt wulkaniczny w centralnych Andach Argentyńsko-Chilijskich (w Cordillera Morada). Wznosi się w głównej grani Kordyliery Zachodniej, na granicy tych państw.

Pierwszego wejścia na tę górę dokonali uczestnicy tej samej brytyjskiej wyprawy, kierowanej przez Edwarda Arthura Fitzgeralda (Fitz Geralda), która w styczniu 1897 roku zdobyła Aconcaguę (patrz Biuletyn WEGA nr 4/2021, str. 502) Na wierzchołku Tupungato 11.04.1897 stanęli Stuart Vines i Mattias Zurbriggen.

Dopiero 15 lat później, w roku 1912, Roberto Helbling i Fritz Reichert dokonali drugiego wejścia na ten szczyt. Po prawie dziewięćdziesięciu latach samotnie stanął na nim Fernando Garrido (16.10.1984).

Warto tu jeszcze wspomnieć, że uczestnicy tej siedmiomiesięcznej ekspedycji: Stuart Vines z przewodnikami braćmi Aloisem i Josefem Pollingerami weszli, także po raz pierwszy, na Cerro Catedral (5335 m), a Luis Riso Patrón z topografami dokonali w 1897 pierwszego wejścia na Tupungatito (5640 m), boczny wulkan masywu Tupungato.

Relacje z pierwszego wejścia na Tupungato i Tupungatito przedstawione są dalej („Andina" nr 3, 1930; archiwalne zbiory Kiełkowskich). Swoje wejścia opisał również S. Vines w artykule *The Ascent of Aconcagua and Tupungato*, „Alpine Journal" 1899, s.565–578.

Małgorzata Kiełkowska

ANDINA

Zeitschrift für Naturfreunde und Wanderer

Organ der Deutschen Ausflug-Vereine Valparaiso und Santiago.

Bezugspreis: Jährlich 6 Hefte für Mitglieder des D. A. V.: frei. für Nichtmitglieder . . . $ 12.—

Herausgeber: Deutscher Ausflug-Verein Valparaiso, Casilla 1587.
Schriftleitung: Erich Werner, Valparaiso, Casilla 925.
Druck: Imprenta Victoria, Valparaiso.

8. Jahrgang. Mai/Juni 1930 Heft 3.

INHALTSVERZEICHNIS:

Eine Fahrt ins Coloradotal (A. Maass). — Vom Gürteltier und vom Stinktier (O. Schreiber). — Ein neues Südamerika-Buch. — Kunstbeilage: Krater des Tupungatito. (Phot. Sattler).

Tupungato vom Tupungatito-Krater gesehen. Phot. Maass.

Eine Fahrt ins Coloradotal.

A. Maass. — Santiago.

Vorbemerkung der Schriftleitung:

Dem nachfolgenden Bericht über einen Besteigungsversuch am Tupungato und über eine Besteigung des Tupungatito seien einige Besteigungsdaten vorangestellt (ohne Anspruch auf Vollständigkeit):

Tupungato (6.650 Meter).

28.—29. März 1897	Besteigungsversuch von Stuart Vines, M. Zurbriggen und J. Pollinger.
6.—8. April 1897	2. und 3. Besteigungsversuch durch dieselben.
11.—12. April 1897	**Erstbesteigung des Tupungato** durch M. Zurbriggen (Erstbesteiger des Aconcagua) und Stuart Vines (Zweitbesteiger des Aconcagua).
8.—11. Februar 1908	Besteigungsversuch Dr. Reichert.
9.—14. Februar 1909	Besteigungsversuch Dr. Helbling, erreicht 6.100 Meter.
21. Januar 1912	**2. Besteigung des Tupungato** durch Dr. Helbling (Drittbesteiger des Aconcagua) und Dr. Reichert.
24.—29. Dezember 1924	Besteigungsversuch Joach. Schmidt u. a. (erreichen 6.300 m).

Tupungatito (5.840 m).

1897 und 1901	**Erste und zweite Besteigung des Tupungatito** durch Rio Patrón.
15. Februar 1907	**3. Besteigung des Tupungatito** durch Mitglieder des Deutschen Turnvereins Santiago.

(Daten nach Helbling, Reichert und «Andina»).

W.

Lange hatte ich geschwankt, welches Gebiet das Ziel der diesjährigen Fahrt sein sollte. Es gab so viele verlockende Pläne: Laguna Diamante mit Guanacojagd, Faltbootfahrten und Besteigung des Vulkan Maipo. Der noch tätige Quizapu bei Talca. Der Nevado de Pinquenes, ein noch jungfräulicher 6000 er. Dann das Tupungatogebiet mit seinen Nachbarn Tupungatito, Palleras, Baldrano etc., Berge, die schon vom Morado, Mesen Alto und Pinquencillo Ostern vergangenen Jahres so verlockend herübergeschaut hatten und im allgemeinen wenig bekannt sind. Spärliche, aber sehr lobende Auskünfte veranlassten mich schliesslich, meine diesjährige Fahrt dorthin zu richten, wo es nach allen Angaben sehr vielversprechend schien und auch tatsächlich meine Erwartungen weit übertroffen wurden.

In etwa 80 km Luftlinie südlich des Aconcagua liegt einer der höchsten Berge Chiles, der Tupungato, 6550 m hoch, der Form nach ein alter Vulkan oder Vulkanteil mit schöner, oben abgerundeter Kuppe und langen Geröllhalden, die in sanfter Steigung weit hinaufführen.

An ihn anschliessend folgt in südwestlicher Richtung der Tupungatito, der mit 5640 m Höhe einer der bedeutendsten Vulkane Südamerikas ist, der noch sichtbare Merkmale von Tätigkeit aufweist.

Der Besteigung dieses Berges galt mein Hauptziel. Der nahe Tupungato und anscheinend leicht zu überwindende Schwierigkeiten eines Aufstieges bewogen mich, auch diesen Gipfel in mein Besteigungsprogramm mitaufzunehmen.

Als Abschluss war ein Vorstoss ins wenig bekannte Museo und Azufretal geplant, zwei Seitentäler des Colorado, in

östlicher Richtung Zugang zum Nevado de Pinquenes gewährend, mit dem ich im stillen auch noch liebäugelte, falls Zeit und Wetter es zuliessen. Ein Abstecher ins Olivarestal war auch noch vorgesehen, einem Seitental des Colorado, genau nordsüdlich verlaufend in endloser Länge.

Der weitere Bericht wird ergeben, wieweit alle Pläne haben verwirklicht werden können.

Sehr zustatten kam mir bei der Orientierung über den Tupungatito ein von Herrn Prof. Dr. Brüggen freundlichst zur Verfügung gestellter Bericht über ein im Jahre 1907 von Mitgliedern des Turnvereins Santiago erfolgter Anstieg zum Krater des Tupungatito, der bis etwa 350 m unterhalb des Gipfels sich erstreckt.

Nach Beendigung aller Vorbereitungen, die bei einer 9 köpfigen Teilnehmerzahl ohne Führer und Mozos zu rechnen, natürlich nicht gering waren, ging der Aufbruch programmässig am 4. Januar vonstatten. Von der Station Pirque fuhren wir per Bahn nach Manzano und von dort per Lastkraftwagen das Colorado-tal aufwärts über die Kraftstation Maitenes hinaus zur sogen. Bocatoma, d. h. dem Punkt, wo das Wasser abgenommen wird, das in einem Kanal 9 km talwärts geleitet, das Gefälle für die Turbinen abgibt, die den grössten Teil der Elektrizität für Santiago und Valparaiso liefern. Bis zur Bocatoma führt der von der amerikanischen Gesellschaft gut erhaltene Autoweg, um über ein kurzes Stück Karrenweg zum Kordillerenpfad herabzusinken.

Sierra Bella aus ca. 4.000 m gesehen. Phot. Maass.

Bei den letzten Häusern des Schlossaufwärters erwartet uns Don José mit den Tieren, vom Modesto und einem Gehilfen begleitet.

Gottlob ist alles zur Stelle. 16 Kisten und 15 Säcke stellen unsere ganze Habe dar, die ich kurz näher beschreiben will, damit auch der Nichtfachmann ein kleines Bild bekommt, was zu so einem 16-tägigem Ausflug gehört. 4 Zelte verschiedener Grösse, 5 Feldbetten, etliche Gewehre, — eins hätte reichlich genügt, — Eispickel, Steigeisen, Fotoapparate, Fernrohr, Höhenmesser, Decken, Seile

und nicht zu vergessen Essen und Trinken für 12 Personen und 16 Tage.

Langsam entwickelt sich das Wirrwarr von Kisten, Säcken, Sätteln, Menschen und Tieren zu einer langen Karawane, die wie eine Schlange oder Raupe durch das Gelände kriecht, sich hier und da in einzelne Ketten auflösend.

9 Kopfbedeckungen, einander so unähnlich als möglich, bekunden damit schon äusserlich die verschiedenen Charaktere, die sich hier zusammengefunden haben, einig in der Liebe zu Chiles Bergen, deren Schönheit sie für 14 Tage in ihren Bann ziehen wird.

Da ist, um mit dem Jüngsten anzufangen, «Hopfenstange» Bohn ein Jünger der Wissenschaft, froh, ihr für einige Wochen entronnen zu sein, um sich umsomehr seinen vielseitigen Studien in «Wald und Flur» als wissenschaftlicher Mitarbeiter der Expedition zu widmen.

Abwechselnd ziert ein alter Panamahut von unbestimmbarer Farbe ohne Band oder eine gestrickte Bolivianermütze mit niedlichen Ohrenschützern, oben spitz verlaufend wie ein grosser Eiwärmer, sein Haupt.

Mit seinen überlangen Gliedern schwankt er manchmal beängstigend auf seiner Mula, besonders am Anfang, als er als rechtes Sorgenkind zuviel des Guten an Frischobst getan hat und unter den Nachwirkungen leidend, wie eine aufgewärmte Leiche durch die Gegend schaukelt. Doppelt und dreifach wird nachher das anfangs an Essen Versäumte aufgeholt, und kräftiger denn je kann er sich nach beendeter Fahrt in die Arme der Seinen stürzen.

Eine weisse Segelmütze zieht unseren stolzen Nimrod, Fito Luer, der mit seiner Flinte auf dem Rücken unermüdlich nach Jagdbarem ausspäht und auch manche nette Ente dem stets aufnahmebereiten Kochtopf zuführt. Dass solche langen Jagdritte Durst machen, den nur guter Wein löschen kann, ist wohl jedem verständlich und daher auch nicht mehr als recht und billig, ihm den Löwenanteil an Trinkbarem zu überlassen.

Braungebrannt wie ein Kazike sitzt Sattler halbnackt auf seinem Schimmel. Die grüne Jockeymütze verschwindet bald. Der noch leidlich dichte Haarwuchs muss die Kopfbedeckung ersetzen. Nur bei grösster Kälte kommt eine grosse Wollmütze von Tradition zum Vorschein.

Vorsichtiger in punkto Sonne ist Freund Kuhn. Ein Tropenhelm ist als ideale Behauptung auserwählt und seit langem erprobt.

Seine Frau verleugnet trotz unserer erfolgreichen Taufe in «Lachen» nicht ihr angeborenes Geschlecht und schwankt recht weiblich zwischen Etiquette und Zweckmässigkeit, d. h. einem scharmanten Panamahut mit kokettem Band, coquette ist fast, und einem handlosen Kindertraumhut, schneeweiss, federleicht und waschbar.

Dem Nestor der Truppe, mehrfacher Familienvater Bethge muss ein älteres Exemplar der Gattung Strassenhut, unaufgebügelt, zum würdigen Abschluss seiner oberen Körperhälfte dienen, und als «Mann von Welt, der auf sich hält», weiss er damit seiner Person ein anziehendes Aeussere zu geben, das Kundige aber doch in respektvolle Entfernung nötigt, die allzugrosse Vorliebe für Zwiebel und Ajo leicht erzeugt. In die finanzielle Leitung hat er nicht viel Vertrauen, ich sehe ihn des öfteren im «Ley de Quiebras» studieren, seine Hauptlektüre. Jedoch mein Gewissen ist rein, da ich als vorläufiger Bankier der anderen eher etwas zu fürchten hätte.

Der nächste Familienvater, Freund Schlüter vom Bruderverein aus Valparaiso trägt still bescheiden seinen praktischen Stoffhut und leidet im übrigen tapfer schweigend an dem vielerlei Ungemach, das die Hochkordillere so gern für den Neuling übrig hat, wie entzündete Gesichtshaut, bösartig angeschwollene und eiternde Lippen u. dergl. mehr.

Wolf, der siegreiche Altarterwinger hat sich für seine Schirmmütze entschieden, die in ihrer Verwandlungsfähigkeit auch sehr geeignet für die wetterwendischen Launen des Kordillerengottes sind.

Meine Wenigkeit entschied sich diesmal für ein leichtes waschbares Strandhütchen und hatte nur für den Notfall die leichte Schneeschuhmütze im Rucksack.

Don José hatte natürlich wieder seinen Kordillerenhut, unbestimmbaren Alters sowie undefinierbarer Farbe und Gestalt, den er nachher «ornehm ver-

Tupungato (6.550 m). Annarsch. Phot. Sattler.

Porteriejo del Tupungato (4.790 m) und Sierra Bella (5.230 m) links. Phot. Schlettler.

schleiert, trug, allerdings hierbei weniger auf die äusserlich malerische Wirkung bedacht als lediglich, um seinen kranken Hals gegen die rauhen Winde zu schützen.

Damit wäre die Vorstellung der Teilnehmer beendet, und wir können uns dem weiteren Verlauf der Dinge widmen.

Gleich hinter der Bocatoma verändert sich das Landschaftsbild. Der herbe Charakter tritt zurück. Liebliche Matten umsäumen den Weg. Ein parkartiges Wäldchen dehnt sich zu unserer Linken aus, daran eine freundliche Wiesenlandschaft. Rechts unter schattigen Bäumen ein grosses Gehöft, im Hintergrund ein paar gewaltige Gebirgszacken; ich wähne mich mehr in der Schweiz als in Chile. Kleine Bäche murmeln geschwätzig zu Tal. Nur die grossen Kakteen und zunehmende Zahl von Peumos und Boldos mit ihrem aromatischen Geruch gemahnen neben der südlich warmen Sonne an Chile. Alfalfal heisst dieser idyllische Flecken.

Steil führt der Pfad im Zickzack etwa 100 m aufwärts; tiefunten rauscht der hochangeschwollene Colorado, der sich hier in langer Arbeit einen Durchbruch geschaffen hat zwischen dem Echaurren Massiv an der einen Seite, an dessen Ausläufern wir entlangreiten, und den Quempobergen auf der anderen Seite, die hier in einigen prachtvollen Zacken ihren Abschluss finden.

Der schönste Teil des Tales beginnt. Ein gut gehaltener Pfad, bald hart am Fluss, bald hoch am Hang, dann wieder fast tunnelartig in das Gestein geschlagen, folgt in wechselndem Auf und Ab den Biegungen des Flusses, der hier in tausendjähriger Arbeit, ein kaukasähnliches, hochalpines Durchbruchstal geschaffen hat. Steil erheben sich links und rechts die Talwände, von denen Wasserfälle herabstürzen, wie zarte Silberbänder in die Berglandschaft eingefügt. Stattliche Bäume bedecken parkartig die allmählich breiter werdende Talsohle, auf der sich der Pfad in malerischen Windungen hinzieht.

Nach 1 ¼ stündigem Ritt öffnet sich links nach Norden ein Seitental. Es ist der Olivares, der sich hier mit dem Colorado vereinigt. Das Tal wird nun bedeutend breiter. Eine kleine Ebene dehnt sich aus, mit Buschwerk durchsetzt, dazwischen guten Weidegrund für Schafe bildend, die hier auch vom Besitzer des Coloradotals, das einen einzigen Fundo darstellt, gehalten werden.

Nacheinander werden 2 kleine Flüsschen durchkreuzt, Belbo und Paloma. Das Tal verengt sich wieder. Ein Berg mit seltsam gefärbtem Gestein drängt sich an den Fluss heran. An seinem Abhang entlang ist der Pfad in neckischen auf und ab eingeschlagen worden. Plötzlich senkt sich der Weg. Ein kleines Wäldchen liegt vor uns, davor ein Holzhäuschen, das die «Baños Salmillus» beherbergt, ein lauwarmes, heilkräftiges Bad, das schon seit altersher benutzt wird.

Am Eingang des anfangs erwähnten Alfalfals stand früher ein «Hotel», von dem jetzt nur noch schwach die Grundmauern zu sehen sind, das von dem früheren Besitzer des Fundos für die Badekundschaft erbaut war, die bis dorthin per Kutsche von Puente Alto bezw. Santiago kam, und von dort per Mula zu den Baños gebracht wurde. Eine Feuersbrunst soll später das «Hotel» zerstört haben.

Rasch die Kleider vom Leibe und hinein in das klare, seichte Becken, aus Feldsteinen kunstlos aufgemauert, und in dem sitzend das Wasser grade bis zum Halse geht.

Der erste Reittag ist zu Ende. Lange müssen wir noch auf Don José warten, der so manches Mal die Lasten umpacken musste und sorgfältig Acht geben, dass der oftmals enge Weg durch vorspringende Felsen kein Hindernis für die breitbepackten Mulas bietet.

Warm ist die Nacht in 1500 m Höhe, die wir hier etwa haben; es erübrigt sich, die Zelte aufzuschlagen, da auch die Bäume hinreichend Schutz gewähren. Früh soll es am nächsten Morgen losgehen, um vor Abend in den Baños Azules zu sein.

Gegen 9 ½ Uhr setzt sich endlich der Trupp in Bewegung. Freund Bohn, als 1. Opfer des reichlichen Frischobstes liegt sterbenskrank am Boden, als Jünger der Medizin am eigenen Leibe die bittere

Wahrheit erfahrend: «Arzt, hilf Dir selbst». Nach einigen kräftigen Tropfen des Allheilmittels Pisco wird er mit ermunternden Zusprüchen auf seine Mula gehoben. Die lange Gestalt in ihrer Schwäche schwankt mehrmals bedenklich auf ihrem Thron; aber schliesslich es geht, wenn auch der plötzliche Riss seines Sattelgurtes beinahe ein Unheil herbeigeführt hätte.

Wir verlassen die letzte Baumvegetation. Der Weg wird zusehends schlechter; ein Stück ist durch Geröll verschüttet; wir müssen ihn oberhalb im Hang neu bahnen, was viel Zeit wegnimmt.

Das Tal verengert sich wieder bedeutend. An diesem abfallenden Fels führt der schmale Pfad vorbei. Senkrecht geht es in die Tiefe, wo der Colorado donnernd dahin braust.

Ein rauschendes Seitenflüsschen wird überschritten. Der Estero de las Varas. Dann geht es wieder hart am Fluss, der hier fast rechtwinklig von seinem bisherigen Lauf abweicht und damit die ostwestliche mit der nordsüdlichen Richtung vertauscht. Das Bild der Landschaft wird merklich herber, die Szenerie eintöniger. Breite Vegas bedecken die Sohle des nunmehr breiten Tales. Tausende von Schafen sind hierher zur Weide getrieben; die Hirten hausen in einem Felsenunterschlupf am Berghang, von wo sie gute Uebersicht über die Herde haben.

Mit einiger Schwierigkeit wird auch ein Uebergang über eine grosse Geröll-Lawine gefunden, die mit Eis durchsetzt, einen unsympathischen Untergrund für Mensch und Mula bildet. Nach einigem Widerstande, wo ich als der Klügere nachgebe und absteige, zerre ich mein Reittier hinüber. Misstrauen war der Grundcharakter meiner Mula, wie ich bald darauf unsanft merken sollte, als ich vertrauensvoll über trockenen Schlammboden galoppieren wollte, sie aber durch die Risse im Boden misstrauisch gemacht, vom vollen Galopp mit angezogener Vierrädrenuss und eingezogenem Vordergestell auf der Stelle stand, während ich in elegantem Sturzflug nach vorn auf meinen 4 Buchstaben landete.

Nacheinander überschreiten wir nun die Esteros Chacaval und Aguas Blancas, passieren dann ein wüstes Trümmerfeld von wahllos abgesprengten Blöcken, um bald darauf einen zuckerhutähnlichen Kegel auftauchen zu sehen, an dessem Fuss sich die Baños Azules befinden. Pan de Azucar heisst mit Recht dieser 2.400 m. hohe Gipfel.

Bei Sonnenuntergang schlagen wir in 2.200 m. in einem Seitental des Colorado, dem Estero Museo, an geschützter Stelle unser Lager auf. Zur Seite rinnt das klare Kalkwasser, das oben aus den Felsen sickert und infolge der Lufttrockenheit und Uebersättigung des Wassers mit Kalk dasselbe in Form wunderbarer Wannen absetzt, die terassenförmig aneinanderschliessen und so eine Reihe natürlicher Becken bilden, die den Namen: «Baños Azules» Blaue Bäder veranlasst haben, wenn auf die Färbung des Wassers hingedeutet wird, das bald kobaltblau, bald smaragdgrün schimmert. Die Temperatur des Wassers war etwa 18° C bei Tage.

Dem Lager gegenüber erhob sich der «Zuckerhut». Der Estero Museo hat sich hier tief in die Talsohle eingeschnitten und hat im Bund mit Wetter und Wind die wunderbarsten Auswaschungen am steilen Uferrand vorgenommen, die ihm wohl seinen Namen eingetragen haben. Vorläufig werfen wir nur einen flüchtigen Blick in dieses Tal, das auf dem Rückweg näher erforscht werden soll.

Obgleich es schon bedeutend kühler ist, schlagen wir, um Zeit zu sparen, keine Zelte auf.

Am frühen Morgen überschreiten wir den kristallklaren Museo, klimmen am jenseitigen Ufer steil hinauf, um bald darauf wieder steil zum Azufre abzusteigen, dem nächsten Nebenfluss des Colorado, der sich ebenfalls sein Bett tief eingegraben hat und seine rötlichen Wasser tosend zu Tal schickt. Es kostet Mühe, für die Tragmulas einen einigermassen gangbaren Pfad am jenseitigen Steilufer zu schaffen, der sie auf die Höhe des Coloradotals bringt.

Bereits hier, noch viele Kilometer vom Vulkangebiet entfernt, befindet sich die erste Lava, die wie eine etwas zerfalle-

ne Mauer das Tal abriegelt, zwischen deren Spalten sich der Pfad dahinzieht. Die richtige Lava- und Schlackenregion des heutigen Vulkan Tupungatito beginnt erst eine halbe Tagereise weiter aufwärts, während dazwischen nichts an vulkanischem Eruptivgestein zu finden ist. Der Boden weist vielfach grosse Blöcke auf, die in jüngster Zeit von den Steilhängen abgesprengt sind.

Ein bunter Blumenflor ziert das Tal, das wieder breiter wird und durch eine Seitenschlucht links Ausblick auf ein weiles zinnenartiges Bergmassiv öffnet, einer Kathedrale gleichend, die zwischen

An einem grünlich schimmernden Felsenloch wird Halt gemacht, das sich in Form und Farbe von seiner Umgebung abhebt wie eine eitrige Beule von der Haut. Es sind die Baños del Tupungato, gleichfalls eine Thermalquelle. Angenehm warm ist es in diesem Naturbade von $1^1/_2$: $2^1/_2$ m Umfang, ovalförmig, und etwa $2^1/_2$ m tief. Das Wasser ist giftgrün, angenehm moussierend und nicht salzhaltig wie die Baños Salinillas.

Kurz ist nur Rast, da wir noch ein langes Stück vor uns haben; also raus aus der warmen Flut in die unange-

«Riesentorte» bei den Baños del Tupungato. Phot. Behn.

dem Dachreiter Schnee trägt. Aus einem weiterem Nebental können wir erneut die Schönheit dieses Bergen bewundern. Grossartiger und freier wird die ganze Szenerie. Neue Gipfel tauchen auf. Das grosse Rätselraten der Namen beginnt. Ein merkwürdiger Berg vor uns zieht die Aufmerksamkeit auf sich. Aus mehreren, grossen, glattgehobelten Deckplatten besteht seine eine Flanke, gleichsam der Zuckerguss eines riesigen Schichttortenstückes, das um 45° aufwärts geneigt, hier in Schnitt und Farbe gezeigt wird. Ein wahrer Gigantenhappen, wie überhaupt titanenhaft die Kräfte gewesen sein müssen, die hier ihr Spiel getrieben.

nehm kalte Mittagsbrise, die uns eiliger in die Kleider und auf die Reittiere hilft.

Ein schwarzes Hügelchen, das wir bald erreichen, entpuppt sich als das Ende des zweiten Lavastromes. Ein umfassendes Panorama baut sich vor dem Beschauer auf. Vor uns das Riesentortenstück, das sich in einer Bergkette gleicher Struktur und gleichen Aussehens fortsetzt. Zur linken Hand der Schichttorte erstreckt sich ein weites Tal mit breiten Vegas. Tief zu unseren Füssen rauscht kaum sichtbar der Colorado, die unterste Schicht der Riesentorte belekkend. Nach der Mitte des Bildes erstreckt sich der Tupungato mit weitausladenden Geröllflanken, auf dieser

Seite verhältnismässig wenig Gletscher aufweisend. Links vor ihm ein isolierter Schuttkegel, bunt an Farben, während rechts das schwarze, vulkanische Gestein des Tupungatito beginnt, dessen Lavaströme sich weit hinunterziehen und im Beschauer das Bild grosser Kokshaufen wecken, unordentlich aufgeschüttet und verteilt, die sich im Hintergrund zu einem flachen, konischen Schuttkegel verjüngen hier und dort mit Schneebändern durchsetzt. Links seitlich davon sehen wir einen zweiten angeschütteten Kegel, oben eingebuchtet und Rauchwolken ausstossend. Anscheinend der jetzt tätige Krater. Die Kamera muss das ganze Bild festhalten, dann geht es hurtig weiter, den anderen nach, die schon ausser Sicht sind. Ein klarer Bach wird überschritten. An seinem Ufer schlagen wir auf dem Rückweg das Standlager für die Tupungatiobesteigung auf. Spärlicher Graswuchs bedeckt jetzt nur noch den sandigen Boden. Der nächste Fluss ist wieder tief in das Gelände eingeschnitten, die Ränder mit losem Gestein durchsetzt, das bei jedem Schritt donnernd abbricht. Wir müssen ein längeres Stück im geröllhaltigen Flussbett aufwärts reiten, ehe wir auch nur einen einigermassen möglichen Aufstieg zum jenseitigen Ufer finden, der erst in harter Arbeit mit Pickel und unter Entfernung grosser Blöcke geschaffen werden muss. Es kostet viele Arbeit, ehe nur ein kümmerlicher Pfad geschaffen ist, der bei dem losen Gestein und Sand dauernd wegrutscht. Sehr beruhigend wirkt das dauernde Gepolter von kollrechendem Gestein nicht auf die Mulas, die unten im Flussbett warrend stehen. Einzeln führen wir die Reittiere hinauf, Sorge tragend, dass niemand von Steinschlag getroffen wird, der die grösste Gefahr bildet. Freund Lüer kann es sich nicht nehmen, auf seinem Pferde hinaufzureiten, das natürlich fast schon oben am Rand angekommen, zu straucheln anfängt. Zum Glück kommt er rasch aus dem Sattel und kann das Tier mit dem Zügel festhalten; das in dem nachgiebigem Gelände bedrohlich abrutschte. Ich selber rette mich mit eiligen Seitensprüngen aus der kritischen Nähe unterhalb des Pferdes.

Immerhin entschliesst sich jetzt auch der hartgesottenste Reiter, sein Pferd am Zügel hinaufzuführen.

Schwarz sehe ich bei dem fortgesetzten Steinschlag, wie die Tragtiere ungefährdet herüberkommen sollen, die man nicht einzeln führen kann. Natürlich geht die Geschichte auch schief. Einem Mula-Gänschen geht der Aufstieg mit seinen unvermeidlichen Pausen nicht rasch genug. Es fängt eine Privatkabbelei mit einer Genossin an, die die Zudringliche mit einem Stoss abwehrt, der zur Folge hat, dass besagtes Gänslein auf seinem exponierten Felsen das Gleichgewicht verliert, und kopfüber in den Fluss etwa 5 m. darunter stürzt.

«Die war einmal», denke ich, als ich das Tier unbeweglich mit hängenden Gliedern auf ihrer Traglast im Wasser sehe. Inzwischen ist Modesto mit flinken Sätzen zu ihr gesprungen und gibt ihr einen derben Fusstritt. Ich traue meinen Augen kaum. Die leblose Masse bekommt Leben. Mit einem Ruck springt die Mula, urplötzlich von ihrer Last befreit, auf die noch etwas zitternden Beine und entschliesst sich dann, ihren Kolleginnen nachzutraben. Ihre zufällig weiche Last hat sie bei dem Sturz vorm Tode gerettet, indem sie gleichsam als Prellbock stossdämpfend gewirkt hat. Der Bauchgurt hat als einziger im letzten Moment daran glauben müssen. Wir sammeln rasch die nassen Säcke aus dem Wasser und schleppen sie auf der Schulter den Hang hinauf. Zur Strafe wird dann die Mula von neuem beladen, wenn auch mit etwas weniger Gepäck.

Nach diesem zeitraubenden Intermezzo geht es eilends weiter, um noch vor Nacht einen günstigen Lagerplatz zu finden.

Der Weg folgt jetzt dem breiten Geröllbett des Colorado, das allmählich immer flacher wird. Vereinzelt bedecken sumpfige Vegas den Boden, wo zur Freude des Jägers auch einige Enten zu sehen sind.

Das Tal selber schliesst eine prächtige Kette eisbedeckter Gipfel ab, die nach der Karte den schönen Namen «Sierra Bella» tragen. Mächtige Gletscher kommen von dort herunter, nach

den gewaltigen Moränen zu urteilen, die wir bald ganz nahe bewundern können. Die Geröllmassen haben Fluss und Tal zeitweilig ganz zugedeckt. Wir selber müssen uns seitwärts am Hang unseren Weg suchen. Um eine Bergnase geht es herum, dann sehen wir wieder den von Gletscherschutt befreiten Colorado unter uns, der jetzt direkt von Osten kommt. Wir lassen die Sierra Bella zu unserer Linken und blicken direkt auf eine tafelbergartige Abriegelung des Tales. Es ist der Portezuelo del Tupungato; über

Aufstieg. Der Berg selber bleibt uns durch eine Hügelkette verborgen, an deren Fuss wir uns befinden. Das Wetter ist bis jetzt äusserst günstig gewesen; kein einziger bedeckter Tag. Gegen 11 Uhr regelmässig der Talwind, der bei Sonnenuntergang einschläft. Nachts kalt — 9°. Die zweite Nacht leider bedeutend wärmer — 5°, morgens ein leises Lüftchen vom Berge her, alles Anzeichen einer allmählichen Wetteränderung, die auch tatsächlich nach einigen Tagen einsetzte. Die dünne Luft vom

Felshaufen im Azufretal. Phot. Maass.

ihn führt ein «Weg» nach Argentinien, d. h. man muss ihn sich machen im Geröll und Schnee. Die Kammlinie vor uns bildet die chilenisch-argentinische Grenze und gleichzeitig Wasserscheide. Am Fusse von ihr entspringt der Colorado.

Unweit eines klaren Bächleins wird an geeigneter Stelle das Lager aufgeschlagen. Wir sind in 3.450 m. Höhe. Heisshungrig stürzen wir uns auf das Essen, da wir den ganzen Tag über noch nichts Warmes erhalten haben.

Der nächste Tag vergeht mit Ausruhen und Vorbereitungen zum Tupungato-

Berge verursacht mir und den andern einen leisen Druck an den Schläfen, der nicht recht weichen will.

Zu vieren wollen wir dem Tupungato zu Leibe; die anderen 5 wollen uns so hoch als möglich begleiten. Ein kleines Stück folgen wir noch dem Coloradotal, um dann rechts in einem vereisten und mit Penitentes durchsetzten Bachbett hochzureisten. Von hier aus sehen wir den Tupungato in seiner ganzen Majestät vor uns. Gleichzeitig erkennen wir deutlich links den Grenzkamm, der sich in langsam steigender Kurve bis dicht unter die Kuppe des

Tupungatito erstreckt. Unser Anstiegsweg. Im Zickzack durch endloses Geröll reiten wir langsam aufwärts. Einzelne Penitentesfelder werden umgangen. Höher und höher steigt hinter uns die Sierra Bella mit ihren Prachtgletschern; dahinter anschliessend der hornartige Gipfel der Polleras, in seinem Profil etwas an den Roble aus der Küstenkordillere erinnernd.

Mühsamer wird der Ritt im lockeren Geröll. Das Reittier José Marias zeigt bedenkliche Müdigkeit; er führt es schon geraume Zeit am Zügel. Oefters müssen wir absteigen, um mit dem Pickel einen Weg über vereiste Bäche oder durch Penitentes zu bahnen. Die ungewohnte Arbeit in 4.500 m. rächt sich bald. Auf der Höhe des Portezuelos von ca 4.600 baut Don José als erster ab. Punakrank. Er kann nicht mehr weiter. Pause. Es geht auf 3 Uhr, also keine Zeit mehr zu verlieren, da wir unbedingt bis auf 5.000 m. nach kommen müssen. Nach kurzem Rat trennen wir uns von den anderen, die noch zum Grenzpfahl hinüberwollen, während wir mit Medesto auf eine grosse Mulde zuhalten, etwa 400 m. weiter oben, die uns geeignet als Platz für das Hochlager erscheint. Das Gelände wird immer schlechter. Das lockere Geröll zusammen mit der Höhe lassen die Tiere schwer keuchen und oft den Dienst verweigern, sodass ich vielfach gezwungen bin, abzusteigen und selber einen Weg im Geröll zu treten. Die Folgen bleiben nicht aus. Es geht grade noch bis in die Mulde, ich raffe meine letzte Energie für die Wahl des Hochlagers auf, dann hat mich aber auch die Puna in ihren Klauen und lässt mich nicht mehr los.

Gleichgültig sehe ich zu, wie die andern 3 die Zelte aufbauen; das Farbenspiel bei Sonnenuntergang auf den Eisgipfeln ringsum, ich sehe nichts davon. Mein Schädel droht zu platzen, so hämmert der Kopfschmerz. Zwiebel soll das Heilmittel sein. Ein Stück nur unter die Nase gebracht, verursacht so starken Brechreiz, dass ich dieses Mittel schnell verschwinden lasse. Es ist jetzt nach Sonnenuntergang ganz windstill geworden. Das Wetter scheint uns nicht im Stich zu lassen.

Nach verschiedenen Kochexperimenten, wobei die ohnehin schon dünne Luft durch den Gestank von Alkohol und Benzin nicht grade verbessert wird, legen wir uns zum Schlafen hin. Aus Mangel an Appetit fiel bei mir das Abendbrot aus. Die Nacht verbrachte ich ganz leidlich schlafend, während die übrigen 3 kaum ein Auge zutaten. Mit dem Morgen stellt sich bei mir auch prompt der Kopfschmerz ein, etwas abgeschächt. Das Thermometer war trotz der Windstille nachts bis auf — 14° gefallen.

Gegen 6½ brechen wir alle mehr oder minder punaleidend auf. Ich verliere erst noch Zeit und kostbare Energie auf der Suche nach meinem Eispickel, den ich gestern in meinem Punarran beim Abladen der Gepäckmula 50 m. abseits des Lagers vergessen habe.

Die beiden Zelte werden umgelegt und mit Steinen beschwert. Dann geht es den Geröllhang aus der Mulde zum Grat hinauf. Es ist zum Glück windstill. Wenn nur der rasende Kopfschmerz aufhören wollte. Das nachgiebige Geröll bringt einen schier zur Verzweiflung. Endlich findet sich hier und da festeres Gestein, das dem Fuss Halt bietet und erlaubt, die Arme auch mitzugebrauchen. Kuhn und Wolf sind schon weit voraus und und scheinen rüstig voranzukommen. Sattler etwas unterhalb von mir hat auch schwer zu kämpfen.

Aufatmend komme ich schliesslich auf dem Grat an, von der Sonne wohlig durchwärmt. Jetzt geht es etwas besser. Ich suche mir einen markanten Felsen nach dem anderen als Zielpunkte, um so in kleinen Etappen den punakranken Körper zu zwingen. Langsam geht es so vorwärts, aber es geht. Bei jedem Muldenende hoffe ich, am Schluss des ermüdenden Gerölls zu sein und in die Felsen des Gipfelmassivs ansteigen zu können, in denen ich verschiedene Einstiegsmöglichkeiten sehe. Allmählich fange ich an, mich an die Höhe zu gewöhnen. Der Kopfschmerz lässt etwas nach. Meine Zuversicht steigt. Die Müdigkeit lässt auch nach, die mich bei jeder Pause hat einschlafen lassen, wobei dann die Puna den blödsinnigsten Traum-

spuk heraufbeschwört. Der Appetit regt sich. Ich schaue nach der Uhr. 11 Uhr. Ich schätze so im stillen: gegen 6 Uhr können wir es vielleicht geschafft haben. Da sehe ich Kuhn und Wolf von rechts oben an mir vorbeikommen. Richtung nach unten. Auf meine Frage höre ich, dass sie es aufgegeben haben. Die Puna hat schliesslich doch triumphiert.

Nach 1¼ Stunden langer, leidenschaftsloser Ueberlegung sehe ich ein, dass es für mich allein, ohne Kochapparat, als Leiter der ganzen Fahrt unmöglich ist, die Besteigung halbpumakrank fortzusetzen, die bei besserem körperlichem Befinden unsererseits und dem gleichen günstigen Wetter sicher geglückt wäre.

So entschliesse ich mich denn schweren Herzens zur Umkehr, da ich nicht den lächerlichen Ehrgeiz habe, die von Wolf und Kuhn erreichte Höhe von ca. 6.000 zu übertrumpfen. Ein alter Schlips dient in Ermangelung von Papier als Markierung der Stelle, die mit 5.800 eher zu niedrig als zu hoch angegeben ist. Etwa 100 m weiter unten finde ich ein gut erhaltenes Mulahufeisen, das von einem früheren Besteigungsversuch herrühren muss. Wahrscheinlich von dem im Heft 3 Jahrgang 4 der «Andina» beschriebenen Besteigungsversuch des Herrn Joachim Schmidt, der in der Zeit vom 24. — 29. Dezember 1924 unternommen wurde, und von dem wir allerdings schwache Spuren in ca. 4.300 m. im Geröll fanden. Don José hatte auch derzeit wegen Puna abgehaut. Die Besteigung musste laut Angaben in 6.200 m wegen schlechten Wetters abgebrochen werden.

Jedenfalls finde ich mit dem Hufeisen eine Bestätigung dessen, das wir nicht hoch genug mit der Packmula gekommen sind und daher vorzeitig durch das Geröll zusammen mit der Puna mürbe gemacht worden sind.

Pass am Ende des Azufre- und Mustotales. Phot. Massa.

Dr. Reichert, dem 2. Bezwinger des Tupungato gelang es erst nach mehrmaligen Versuchen mit Mula bis auf 5.800 m. zu kommen, von wo ihm dann die Besteigung gelang.

Bevor ich umkehere, mache ich geruhsam einige Aufnahmen über den Osthang des Tupungato nach Argentinien hinein.

Der Rundblick kann sich grossartiger kaum gedacht werden. Nach SO schweift das Auge über den mit Penitentes besäten Abhang des T., der weiter talwärts

in einem langen Gletscher endigt, der stark mit Schutt bedeckt ist und zwischen dem grün und blau einige Eistümpel heraufleuchten. Weiter nach Osten erstrecken sich schon weniger hohe Bergketten; in weiter Ferne sehe ich aus der Pampa Pappeln und einen Flusslauf silbern heraufglitzern. Das Tal unter mir, das der Rio Tupungato entwässert, scheint keinerlei menschliche Behausung aufzuweisen. Kaum einige grüne Vegas; nur Geröll.

Weit im Norden erhebt sich majestätisch der breite Gipfelrücken des Aconcagua über seine Umgebung. Um ihn herum nach N. und NW. zahllose eisbedeckte Gipfel, unbekanntes Reich für den Flug meiner Gedanken.

Gegen 2½ Uhr treffen wir uns alle niedergeschlagen am Hochlager. Unbarmherzig sticht die Sonne in die schattenlose Mulde. Hitze und Puna lasten auf uns. Es vergehen Stunden willenlosen Dahindösens, ehe wir uns aufraffen, unsere Sachen zusammenzupacken und den Plan erwägen, alles nach unten zu schleppen, was wir aber angesichts der vielen Sachen aufgeben müssen. So nehmen wir nur das unumgänglich Notwendigste mit und steigen über unsortiertes Geröll mühsam direkt in die Mulde des Seitentals vom Colorado hinab, durch das auch der Aufstieg mit den entsprechenden Zickzacks erfolgt war. Die restlichen Sachen muss Don José am nächsten Tage holen. Vorbei geht es an orgelpfeifenähnlichen Felsgebilden, die hier wie eine Kette vom Tupungato herunterkommen, und zu dem grossen isoliert stehenden Schuttkegel hinüberführen, den wir schon beim ersten Anblick des Tupungato von den Vegas aus bewunderten, allerdings von der anderen Seite aus.

Bei etwa 4.000 m. verschwanden uns allen die Kopfschmerzen sowie sonstigen Punaerscheinungen.

Der nächste Morgen galt der Erholung, neuen Plänen und Vorbereitungen zum Abbruch des Lagers, das unten auf den Vegas etwas oberhalb der Baños del Tupungato aufgeschlagen werden soll.

Ich benutzte noch mal den Vormittag, um die prachtvollen Gletscher der Sierra Bella aus der Nähe zu sehen und ritt soweit als möglich die Seitenmoräne hinauf, vielfach das Tier führend. Rückblickend bot sich eine schöne Aussicht auf unser Lager, die Talwand und dahinter der Tupungato und rechts von ihm der Tupungatito, letzterer lebhaft Rauchwolken ausstossend.

Nach unserem ersten Misserfolg beschloss ich, erneut an meinen ursprünglichen Hauptplan der Tupungatinobesteigung heranzutreten. Die anderen äusserten sich zwar skeptisch wegen der ausgedehnten Geröllfelder, machten aber ihre endgültige Entscheidung von dem Ergebnis einer eingehenden Erkundigung abhängig.

Der Abmarsch zum neuen Lager verlief programmässig, obgleich wir wieder den berüchtigten Uebergang benutzen mussten und diesmal am späten Nachmittag bei stark angeschwollenem Fluss. Ich hatte Herzklopfen und war sicher nicht der einzige; aber wir hatten Glück.

An geschützter Stelle inmitten des schönsten Gebirgspanoramas wurde das Lager aufgeschlagen. Wir haben hier herrliche Tage verlebt. Der nächste Tag fand mich früh mit den Vorbereitungen des Erkundigungsrittes beschäftigt. Zu dreien (Behn, Sattler und ich) ging es über einen flachen Rücken auf die ersten Lavafelder zu, die unten ziemlich gleichförmig terrassenartig aufgebaut sind. Weiter oben folgte ein Durcheinander von Schlacken, in den seltsamsten Formen und Farben.

Dazwischen wieder Sandflächen mit vulkanischer Asche vermengt; dann wieder wie Koks anmutende locker geschichtete vulkanische Brocken. Leider bin ich kein Geologe; ich hätte sonst meine helle Freude an diesem vielgestaltigen Gestein haben müssen; so suchte man nur, verständnislos dafür, den gangbarsten Weg durch dieses Geröllwirrwarr zu entdecken. Nach längerem Ritt und eingehendem Studium des weiteren Aufstieges durch das Fernglas glaube ich eine Möglichkeit zu sehen, mit Mulas bis an den Fuss des eigentlichen Kegels zu kommen. Das weitere kann dann nicht mehr schwer sein. Ein wunderbarer

Rundblick belohnt die Mühe des Erkundigungsrittes. Zum Greifen nahe liegt der Tupungato, uns seine Südwestseite zukehrend, daran anschliessend zu unserer Linken der bereits erwähnte buntfarbige Schuttkegel. Dahinter gleichsam das Coloradotal abriegelnd die Sierra Bella, die in den gewaltigen Schichtungen der «Riesenturte» vor uns unten ihren Anfang nimmt. Darüber schauen mehrere teils nadel-, teils kegelförmige Eisgipfel. Der aufkommende Vormittagswind hängt leichte Wolkenfähnchen an die Spitzen der Berge, die sich neckisch bald ganz auflösen, oder zu grösseren Wolken zusammenballen, vom Winde langsam dahingetrieben.

Der aufkommende Hunger lässt uns an die Rückkehr zum Lager denken, wo ein guter Bissen schon lange auf uns wartet. Nach einem kleinen Mittagsschläfchen und Paroleausgabe für den nächsten Tag geht es zu einem Nachmittagsbade zur Schwefelquelle, die in gestrecktem Galopp rasch erreicht wird. Wohlig strecken sich die Glieder in dem warmen Wasser. Behagliches Plaudern und Pläneschmieden lässt die Stunden allzurasch verstreichen. Ungern trennen wir zwei uns bei Sonnenuntergang von den warmen Fluten, um in eiligem Ritt das Lager zu erreichen, wo die andern schon mit den Vorbereitungen zum morgigen Aufstieg beschäftigt sind. Die 4 besten Mulas werden ausgesucht. Modesto wird uns mit einem Packtier begleiten. Don José bleibt immer noch krank im Hauptlager. Die übrigen haben einen Reitausflug ins Nachbartal geplant.

Tupungatito - Krater. Phot. Maass.

Viel rascher als bei den Erkundigungsritten kommen wir vorwärts. In etwa 4-stündigem Ritt erreichen wir die gestern ins Auge gefasste Stelle, wo wir das Hochlager hinbauen wollen. Ein kleines Schneepenitentesfeld liefert das Trinkwasser. Wir befinden uns direkt am Fuss des eigentlichen Kegels in etwa 4.500 m. Höhe. Modesto wird zu Tal geschickt mit der Weisung, uns am nächsten Vormittag wieder abzuholen.

Nach kurzer Mittagspause steigen wir gegen ½ 2 Uhr den Kegel hinauf. Unser Allgemeinbefinden ist ausgezeichnet; das Wetter meint es auch gut, so geht der Anstieg rüstig vonstatten. Das Geröll ist fester gepackt als am Tupungato, hier und dort taucht fester Fels auf, der kurz unter dem Gipfel ein fast treppenartiges Steigen zulässt. An seinem Südhang zieht sich unter mir ein langes Penitentesfeld hinab, das fast gletscherartigen Charakter hat. Mein Weg führt auf der rechten Seite eines langen Schneebandes entlang, das sich bis kurz unterhalb des Gipfels hinzieht.

Gegen 4 Uhr sind wir auf dem Gipfel des Kegels angelangt hinter dem sich ein erloschener, mit Schnee ausgefüllter Krater befindet. Auf dem Grunde ist eine kleine Eislaguna sichtbar. Der Kraterdurchmesser mag etwa 500 m. betragen; die Tiefe etwa 50 m. Am Rande wollen wir etwas verschnaufen; jedoch aus dem Boden dringender Schwefelgeruch stört uns empfindlich dabei.

Am erloschenen Krater entlang geht nun unser Weg nach links über ein ca. 1 km. breites Eisfeld, bis wir an den tätigen Krater kommen, der nach etwa einer halben Stunde erreicht wird. Wir blicken in einen ca. 100 m. tiefen Kessel, eben mehr oval als rund, ca. 1 km. im Durchmesser und dessen Rand mit Schnee eingefasst ist. An einer Seite zagt ein Gletscher etwas hinein. Den Boden füllt ein giftgrüner Teich, während aus den Wänden dicht über dem Teich fortgesetzt weisser Dampf aufsteigt, der sich weiter oben zu einer Wolke vereinigt, die von wechselndem Wind bald nach hier bald nach dort geweht wird. Der Geruch nach faulen Eiern deutet auf Schwefeldioxyd hin. Wir umwandern diesen Krater nach links, um auf den östlichsten und höchsten Rand zu kommen, der in fast zweistündigem mühseligen Gehen auf dem nachgiebigen Boden erreicht wird. Der Wind treibt mehrmals die Schwefelgase zu uns hinüber, die sich unangenehm auf die ohnehin schwer arbeitende Lunge legen.

Ein kleines Raketenfeuer von Schwefelgasen, die zischend unter den Schritten von Freund K. aus dem Boden puffen, und ihm damit keinen kleinen Schreck einjagen, beweisen aufs Neue den noch überall lebhaften Vulkanismus des Berges. Denselben Vorgang erlebte auch Freund Wolf beim Tupengatoabstieg, wenn auch nicht in so starkem Maasse, was sicherlich als Beweis gelten kann, dass auch jetzt noch dem Tupungato vulkanische Kräfte innewohnen.

Der Blick vom Gipfel bietet verschiedene Ueberraschungen. Nach Osten sehen wir über einen dunkelgrauen Sandberg in die Pampa hinunter, die selber durch Wolken verhüllt ist. Nach Süden blickt das Auge über eine riesige etwa 4.500 m. hohe, ebene Eisfläche, die mit 40 Quadratkilometer eher zu klein als zu gross angegeben ist. Ich glaube mich mehr nach Grönland mit seinem Inlandeis als nach Mittelchile versetzt. Am Rand des Eisplateaus tauchen einige mir unbekannte Gipfel auf, die sich wie Inseln aus diesem Eismeer abheben. Aus dem Krater unter uns steigen dicke Gase empor, die sich mit heranziehenden Abendwolken vermischen und unter den Strahlen der scheidenden Sonne einen fantastischen Anblick gewähren wie ein brodelnder Hexenkessel riesigsten Ausmasses.

Unter einem kleinen Steinhaufen legen wir in einer Büchse alle Daten über die Besteigung sowie unsere Namen nieder, machen die letzte Aufnahme und steigen eiligst ab, da es schon zu dämmern anfängt.

Ging der Aufstieg scheinbar zu glatt, so will es uns der Abstieg entgehen. So hat es das Geschick beschlossen, als es Kuhn und Wolf den unseligen Rat einflüsterte, am Rande des Eisfeldes zwischen tätigem und erloschenen Krater

abzusteigen, das sich wie ein breites Band den Berg hinabzieht.

Eine mühsame Durchquerung dieses Bandes, das sich als Penitentisfeld übelster Sorte herausstellt, lässt sie bitter strafen für den Fürwitz, bei Abstieg in unbekanntem Gelände neue Wege einzuschlagen.

Ich überquere wieder das Eisfeld oben, fange aber dann gleich an, abzusteigen, um mir die Kletterei über die Felsen unterhalb des erloschenen Kraters zu sparen. Nach langer Irrfahrt lange ich gegen 10 Uhr nachts beim Hochlager an, wo grade auch K. u. W., nach mancherlei Umwegen angekommen sind. Es ist eine wundervolle Mondnacht. Ihr Zauber lässt mich aber jetzt ungerührt. Todmüde durch dieses Auf und Ab in den Lavaschlacken lege ich mich ins Zelt. Freund W. als Retter der Lage hat doch rasch ein fabelhaftes Abendbrot gemacht, das heisshungrig verschlungen wird und versöhnlicheren Stimmungen über den verfehlten Abstieg Platz macht.

Der nächste Morgen findet uns wieder munter und bereit zum Abstieg, als Modesto mit der Packmula kommt, von Frau Kuhn begleitet. Durch unsere Berichte über den Krater neugierig gemacht, erreicht sie als echte Evastochter, dass sich ihr Gatte entschliesst, nochmals mit ihr zum Kraterrand emporzusteigen, während Wolf und ich vergnügt absteigen und schon im Geiste die Genüsse ausmalen, die uns unten harren werden. Im Hauptlager findet sich auch Freund Sattler, dem es dank seines Orientierungssinnes in der Nacht gelang, wenn auch nicht wie ich das Hochlager zu finden, so doch gegen Morgengrauen das Hauptlager. Ende gut, alles gut. Ein Schluck besiegelt die Versöhnung. Dann ein üppiges Mahl, bei dem etliche Flaschen Wein daran glauben. Der Nachmittag wird wieder einem langen Bade in der warmen Poza geopfert. Unser Jäger ist inzwischen auch nicht untätig gewesen, wie die schmackhaften Entenflügel in der Suppe beweisen.

Die anderen berichten von einem interessanten Ausflug ins Nachbartal, wo sie zahlreiche Versteinerungen von Muscheln und Seeigeln gefunden haben. Gegen Abend treffen auch todmüde die

Auf dem Gipfel des Tupungatito (5.640 m) mit Blick auf das Eisplateau.
Phot. Maass.

beiden letzten Besteiger des Tupungatitos ein.

Der nächste Morgen findet uns beim Abbruch der Zelte. Es ist geplant, weiter talwärts zu ziehen bis zu den Baños Azules, von wo aus das Museotal erforscht werden soll. Ich hoffe im stillen auf einen interessanten Vorstoss zum Nevado de Piuquenes.

Ohne Zwischenfälle erreichen wir den Estero Museo, an desen diesseitigem Ufer wir über hügeliges, grasbewachsenes Gelände talaufwärts reiten. Der Weg zieht sich abwechselnd am Ufer des Museo wie des Azufre entlang, die beide durch eine schmale Hügelkette von einander getrennt sind. Beide Flüsse haben ihr Bett tief eingegraben. Das Wasser des Museo ist kristallklar; das des Azufre schmutzig rot, sein Bett ist eine Symphonie in gelb, rot, violett und grün. Das Wasser hat am Ufer die abenteuerlichsten Figuren ausgewaschen. Das Gesamttal des Museo und Azufre verbreitert sich allmählich. Ausgedehnte Vegas, von zahlreichem Vieh belebt, tauchen vor uns auf. Im Hintergrund erheben sich einige hübsch geformte Gipfel. Links von uns in einer Erweiterung des Tals sehen wir eine Reihe gewaltiger Gletscher, dann die Kuppe eines anscheinend erloschenen Vulkans. Davor eine Felsenbastei, farbenprächtig gehalten, gleichsam als Schildwache zum Gletscherparadies, das sich dort vor unseren Augen auftut.

Unser Entschluss ist rasch gefasst. Das weitere Museotal vor uns reizt uns nicht weiter. Wir biegen nach links und kommen damit in das obere Azufretal, das erst hier ein selbständiges Tal bildet. Ungezählte Gletscher kommen von den steilen Hängen herab und bilden damit den südlichen Abschluss der Eisbochfläche, die wir vom Tupungarito aus bewundert haben. Sicherlich ist auch diese riesige Eisanhäufung mit Schuld an den auffallend niedrigen Nachttemperaturen, die durchschnittlich tiefer sind als weiter südlich am Vulkan San José und Marmolejo.

Am Rande einer schönen Vega findet sich bald in ca. 3.200 m. ein schöner Lagerplatz. Der Rest des Tages bis zum Sonnenuntergang wird noch zu einer Erhundung benutzt. Das Tal macht bald eine plötzliche Biegung um parallel zum Museo und den gewaltigen Gletscherabhängen zu laufen. Der Museo ist nur durch einen flachen Höhenzug verdeckt.

Am nächsten Vormittag entdecken wir auch am Ende des Azufretals zur rechten Hand eine niedrige Einsattlung, die einen natürlichen Uebergang zum Museo bildet. Das Azufretal selber wird durch die Grenzkette des Nevado de Piuquenes, bezw. seiner Ausläufer, wie durch eine hohe Wand abgeriegelt.

Bei diesem Reitausflug haben wir auch Zeit und Gelegenheit, die schon erwähnte Felsenbastion zu bewundern. Sie ähnelt dem Schuttkegel bei den Vegas del Tupungato, nur dass sie länger und schmaler als diese ist und farbenprächtigeres Gestein hat. Es muss meines Erachtens der harte Kern eines Berges sein, von dem das weichere Aussengestein durch äussere Einflüsse von Wind, Wetter, Regen und Schnee abgetragen ist und als Schutthalde den Sockel der Bastei bildet.

Den Abschluss des Azufretals bildet die steile Wand des Nevado de Piuquenes und ein etwas rechts, d. h. südlich von ihm liegender Gipfel. Deutlich ist die Schneekappe sichtbar, die auf dem dachartigen, flachen Rücken des Nevado de Piuquenes sich ausbreitet. Trotz des Steilabfalls halte ich einen Anstieg von dieser Seite aus, d. h. von W. aus auf den Nevado de Piuquenes für möglich und vielleicht erfolgreicher als von der argentinischen Ostseite, wo grosse Penitentesfelder den Aufstieg erschweren, wenn nicht fast unmöglich machen, während hier leicht ein Zugang zum Einschnitt zwischen Nevado de Piuquenes und dem südlichen etwas isolierten Gipfel gefunden werden kann, und von dort leicht ein gangbarer Weg zwischen Felsrand und Schnee sich findet. Deutlich sieht man durchs Fernglas, dass der Schnee überall etwas vom Felsen abgesetzt ist, und so eine natürliche Gasse lässt. Das Azufretal hat hier in ca. 3.600/3.800 m Vegas, die hinreichend Futter für Mulas geben. Das gute Wetter, bisher unser treuster Freund, lässt uns jetzt im Stich. Der klare, sonnige

Morgen macht allmählich einem bewölkten Vormittagshimmel Platz; es fängt empfindlich an zu wehen und damit kälter zu werden. Die Berge bekommen ihre typische Sturmfahne umgehängt. Teilweise nur leicht bekleidet, verduften wir eiligst zum Lager, um dort die weitere Entwickelung des Wetters vom sicheren Zelt abzuwarten.

Nach dem Mittagessen, das wir in unsere Ponchos eingehüllt, noch draussen einnehmen, kommen plötzlich wie eine Windsbraut die halbwilden Pferde heruntergebraust, die uns am Morgen noch scheu bergwärts auswichen. Auch diese Tiere wittern den heranbrechenden Schneesturm, der schon auf den Gletschern begonnen hat.

Wir prüfen die Verankerung unserer Zelte, verstauen alle empfindlichen Sachen und ziehen uns dann in die jetzt behaglich dünkenden Zelte zurück, während draussen aufkommender Sturmwind mit Schneeflocken sein wildes Spiel treibt.

Entschieden haben wir Glück. Die dikken Wolken, die überall beängstigend erschienen, entluden ihren Segen anderweitig. Wir bekamen nur sehr wenig. Im Nachbartal sowie auf den Vegas del Tupungato wären wir nicht so billig davon gekommen.

Gegend Abend begann es sich wieder aufzuklären. Danach trieb der herauf- und herabwallende Nebel ein fantastisches Spiel mit uns, bis schliesslich die Sterne durch die klare, jetzt fast winterlich kalte Luft funkelten, der Mond gespenstisch hinter einer Wolkenbank herauskam und die Kälte uns fröstelnd in die Zelte trieb. Minus 9° zeigte das Thermometer am nächsten Tage als Rekord auf dieser Höhe (3.400).

Blick zum Gipfel des Tupungato. Phot. Maass.

Da sich unsere Urlaubszeit dem Ende näherte, beschlossen wir, nach den Baños Salinillas zurückzukehren, um dort noch einige Faulenzertage zu verbringen, bezw. einen Abstecher ins Olivaretal zu machen. Strahlender Sonnenschein beschert uns der Himmel wieder, als wir am nächsten Morgen zu Tal zogen und noch einmal aus vollen Herzen die Schönheit dieser Gegend genossen.

Erwähnenswert ist aus dem Unterlauf des Museo-Azufretals ein schwarzer Basaltfelsen, der durch Form und Farbe

von allem übrigen Gestein absticht wie ein schwarzer Farbklex auf einer braunen Malpalette.

Bei den Baños Azules wurde eine kurze Mittagsrast gemacht. Ein angestrengter Ritt auf sehr exponierten Pfaden, die Don José oftmals zu Verschönerungsarbeit mit Pickel und Schaufel zwangen, brachte uns gegen Abend zu den idyllischen Baños Sallnillas, die so recht zu einem Faulenzerdasein verlocken. Schattige Bäume laden zur Siesta ein. Ein kräftigendes Bad ist stets willkommen. Ausserdem enthalten die Vorratskisten ganz im Gegensatz zum vergangenen Jahre, reichlichen und guten Bissen. Ein wahrer Feuereifer beginnt. Der bisher einheitliche Küchenzettel für alle wird durchbrochen. Norddeutschland und Süddeutschland kochen getrennt ihr Lieblingsgerichte. Sachsen geht Sonderwege. Chile, d. h. Don José baut sich auch seine Nationalspeisen, verschmäht es aber nie, die Reste der norddeutschen Küche, die ihm als gut bekannt ist mit einem «muy rico» behaglich schmatzend zu vertilgen. Dann liegen wir faul auf die Feldbetten ausgestreckt, über uns der Schatten eines Lun-Baumes, schauen gleichmütig in den Rauch der Zigarette oder Pfeife, schmökern etwas in einem Buch, oder besehen uns schnarchend «von innen». Unglaublich, wie so ein Ruhetag den Appetit steigert. Ich glaubte schon, einen grossen Teil der Vorräte nach Santiago wieder mitnehmen zu müssen. Es werden fabelhafte Klingen geschlagen, die Esslust steigt ins Ungemessene, der Proviant schwindet zusehends. Schuld haben auch die Baños mit ihrer appetitkräftigenden Wirkung.

In 5.800 m Höhe am Tupungato.
Blick in S. O. Richtung nach Argentinien. Phot. Maass.

Ich rate im Vertrauen jedem künftigen Proviantmeister für Bergfahrten, keine Rasttage an Thermalquellen zu machen. Es geht zu sehr in die Vorräte, die ich ja Gottseidank noch reichlich hatte.

Nach einem solchem Faulenzertage wollen wir den letzten uns noch bleibenden Tag zu einem Ritt ins Olivares-

tal benutzen. 2 der älteren Semester sowie Don José bleiben im Lager während wir jüngeren aufbrechen nur von Modesto begleitet.

Das Olivarestal kann uns nach all dem Geschenen nicht mehr reizen. Es ist unendlich lang und am Anfang sehr eintönig. Nach mehr als 5 Stunden Reitens ohne irgendwie den Gletschern nähergekommen zu sein, die es im oberen Teil haben soll, desgleichen ohne einige der berühmten Wasserfälle gesehen zu haben, beschliessen wir, umzukehren. Schwierigkeit macht es noch, die Tiere über die wacklige Hängebrücke über den Colorado zu bugsieren. Nachdem aber erstmal der Leithammel in Gestalt von Modestos Mula hinübergetrieben ist, folgen, wenn auch wiederstrebend, die übrigen.

Die letzte Nachtruhe wird arg verkürzt. Gegen 2 Uhr erscheinen mit mehr lauten als wohlklingendem Gesang 8 Freunde, um uns zu begrüssen. Gegen 4 Uhr morgens erscheint der Rest; im ganzen etwa 25 Personen die uns die ersten Nachrichten aus Santiago bringen. Da nimmt das Fragen und Erzählen natürlich kein Ende. Die alten Limes-Bäume schütteln bedächtig ihre Häupter. Soviel Leben und Treiben haben sie noch nie geschaut in ihren langen Lebensjahren.

Ein heisser Rückweg steht uns noch bevor. Nach einem leidlich schattigen Ritt bis Alfalfal folgt ein schattenloses, nimmer endendes Stück, wo ich mehr auf meiner Mula hänge als sitze. Kaum ein Lüftchen regt sich. Nach vielleicht zehn Galoppsprüngen fällt meine Mula bestimmt in ihr einschläferndes Schrittempo. Halbnackt wie ein Indio hoffe ich der Hitze besser begegnen zu können; aber der plötzliche Wechsel von der Hochgebirgsfrische zur drückenden Hitze des Tales ist doch etwas zu stark. Mehrmals schlafe ich auf meinem Tiere ein. Auch der längste Weg hat ein Ende, so taucht auch schliesslich das Maipotal und dann Mancano auf, wo wir im Despacho auf die übrigen sowie auf das Gepäck warten ,das verspätet eintrifft. Zu dreien bleiben wir daher noch nach Abfahrt des Zuges, der die anderen nach Hause entführt, in Mancano, um das Gepäck zu verladen, den Führer zu entlohnen und noch einen Abschiedstrunk miteinander zu trinken.

Eine zufällig vorbeifahrende Gondola mit einer fidelen chilenischen Gesellschaft aus San José nimmt uns nach Santiago mit. Hinter uns im Strassenstaub verschwinden Berge und Täler, zurück bleibt nur die Erinnerung an die Tage goldener Freiheit da oben in den schönen Bergen Chiles. Ferien des Körpers und der Seele.

* * *

MIĘDZY NAMI WEGANTAMI

Tatrzański list Władysława Malinowskiego

Warszawa, 20 X 2021

[...] Po zapoznaniu się z pierwszymi trzema tomami „Zdobycia Tatr" pozwalam sobie na przesłanie pewnych informacji dotyczących okresu następnego [...] Czasy to, choć pamiętam je dobrze, również dla mnie bardzo odległe. Niedawno stuknęła mi 90-tka (28 VI b.r.). Ponadto pochłonięty byłem w życiu sprawami zawodowymi, nie zgłaszałem przejść, nie prowadziłem notatek. Stąd braki w moich informacjach, głównie np. w datach. Ale do rzeczy – w porządku geograficznym dróg, o których chciałbym wspomnieć, z zachodu na wschód.

Lato

1) Kazalnica drogą Długosza – Momatiuka. Partner Maciej Popko. Ok. 1958(?). Miejsce nad pierwszym zacięciem osiągnięte łatwą trawiastą półką od prawej strony. Pamiętam, że [to] było pierwsze powtórzenie letnie (już po pierwszym zimowym). U Puškaša (t. VII, s. 94) chyba błędnie podane jakieś przejście przed naszym.

2) Wołowa Turnia środkiem pn. ściany, pierwsze przejście. Mam z tą drogą problem psychologiczny. Tylko ja wynajdywałem drogę i prowadziłem (z wyjątkiem jednego wyciągu – środkowego w zacięciu). Tymczasem jednak opisywana jest ona przeważnie jako Droga Surdela. Tak bywa. W tym wypadku alpinistyczny rozgłos nazwisku nadał młodszy brat Jurka, Jan, rzeczywiście świetny wspinacz, który jednak ten sport uprawiał krótko [...]. Obaj mieli przezwisko Kiszkanci (Duży i Mały). Renomę nazwisku nadał właśnie Mały i obaj byli myleni. Znaczenie miała tu zapewne także głośna działalność filmowa Jurka.

3) Galeria Gankowa drogą Łapińskiego – Paszuchy, Partner Andrzej Zawada, 1961. Jedno z wczesnych polskich przejść.

Kontekst anegdotyczny
Andrzej zapowiedział dokumentację fotograficzną i powstrzymywał mnie w najbardziej niekomfortowych sytuacjach..... na drugi dzień oświadczył, że zapomniał założyć filmu.
Nocleg w ławkach wyciąg przed galerią, na mokro po piekielnej burzy z ulewą. Rano, przegrawszy losowanie, musiałem ten wyciąg poprowadzić.
W Morskim Oku czekał w nocy Łapiński z nieprawdopodobną kolacją, żywo zainteresowany szczegółami przejścia.

4) Mały Lodowy pd. ścianą, wariant prostujący na drodze Motyki – Sawickiego. Przedostatni wyciąg (ostatni trudności), VI,..... Partner Piotr Młotecki – wówczas zupełnie początkujący taternik, koniec lat 50.(?).

5) Łomnica zachodnią ścianą, tzw. Hokejką, drugie (?) polskie przejście, dziewiąte przejście drogi. Partner Roman Łazarski (z Krakowa), zwany Generałem, 1958(?).

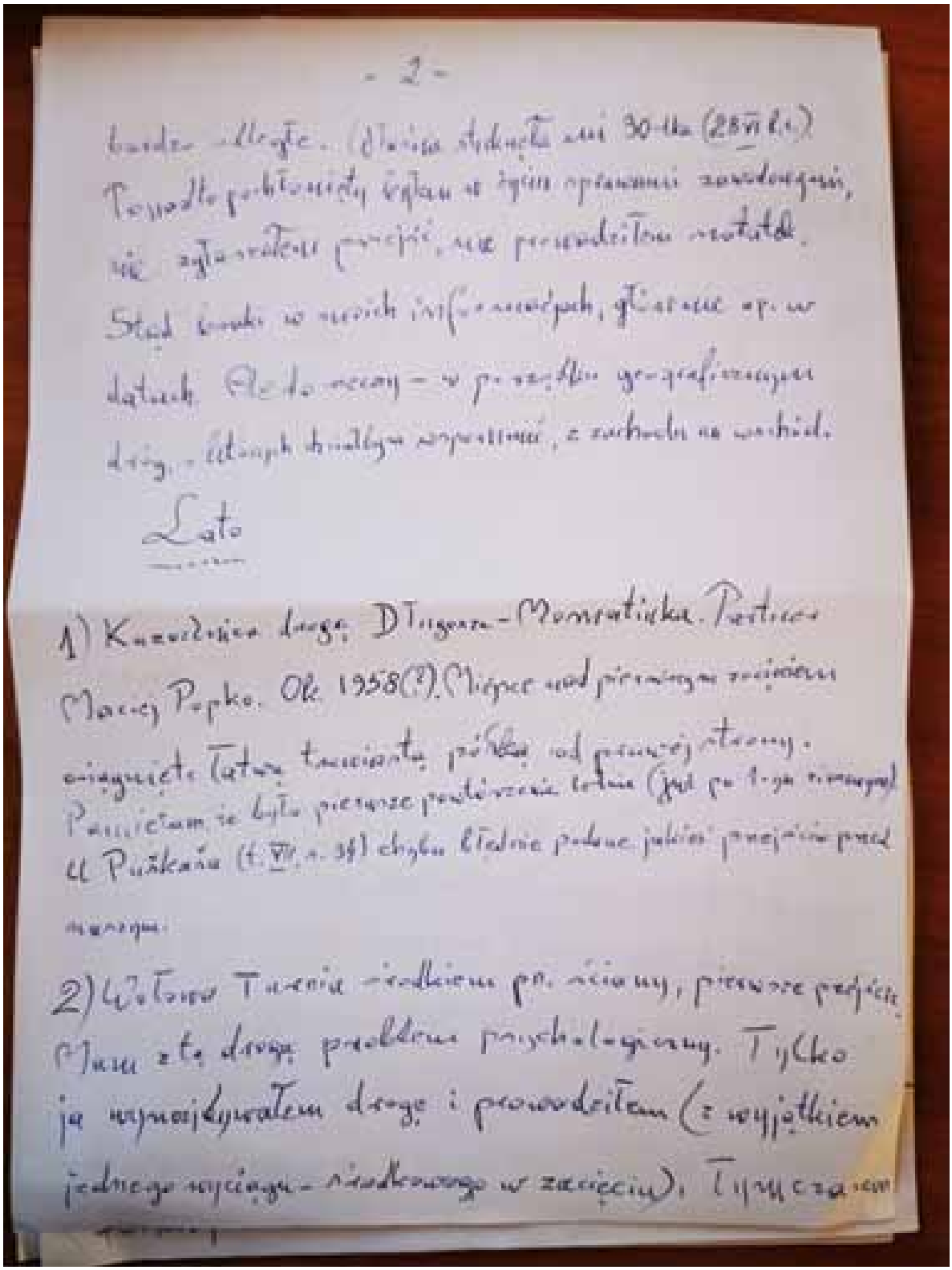

- 2 -

bardzo ulegle. (Dawna studentka ma 30-tka (28 w l.)
Towarzysz pokłócił się z życiem opiekunki zawodowych,
nie zgłaszałem pretensji, nie prowadziłem notatek.
Stąd braki w moich informacjach, głównie opis w
datach. Ale do rzeczy – w przybliżeniu geograficznym
drogą – etapach dwóch wycieczek, z zachodu na wschód.

Lato

1) Kuźnickiej drogą Tatrzańska – Monastirska. Partner
Maciej Popko. Ok. 1958(?). Miejsce nad pierwszym zejściem
osiągnięte latem trzeciego próbą od pierwszej strony.
Pamiętam, że było pierwsze przełożenie lotne (jest po 1-ym wierszu)
u Puszkina (t. IV, s. 34) chyba błędnie podane jakieś przejście przed
wierszem.

2) Wiosenne Tarenie środkiem po ściany, pierwsze przejście.
Mam z tą drogą problem psychologiczny. Tylko
ja wynajdywałem drogę i prowadziłem (z wyjątkiem
jednego wyciągu – środkowego w zacięciu). Tymczasem

Komentarz
Środkowa biała płyta pod hokejem wymagała ówcześnie przejścia w całkowitej ekspozycji pełnego wyciągu bez przelotów, których nie dawało się tam wbijać, hak dopiero stanowiskowy pod przewieszką z lewej strony początku hokeja. Prowadziłem płytę, Romek najtrudniejszy technicznie fragment drogi – przewieszkę i krótki trawers w prawo na półkę na dole hokeja. Dalej wspinaczka w górę hokejem w stylu zwanym ówcześnie „pater noster" – wciąganiem się po stałych hakach (znów ja, identycznie wyglądała np. góra środka pn. ściany Ż.T.M. Już wówczas ta droga jako droga hakowa przestała istnieć). Kociołek podszczytowy, do którego doprowadza hokej, wypełniony śmieciami (łącznie z kłębami drutu kolczastego), przez które brnęliśmy na szczyt.

Zima

1) Filar Świnicy z pierwszym prawdopodobnie zimowym przejściem ściany czołowej (WHP 36E, IV). Partner Jerzy Surdel, grudzień 1953 (1954?).

2) Kozia Przełęcz Wyżnia pn. żlebem. Partner Jan Ryl-Nardzewski (dawny kursant – „prymus") 1959(?). Być może trzecie lub czwarte przejście zimowe, drugie lub trzecie jednodniowe. Pierwsze przejście Siedleckiego i Stryjeńskiego było dwudniowe z wykorzystaniem pozostawionej, liny jak wynika z opublikowanej relacji Stryjeńskiego (Pamiątkowa Księga Przyjaźni. Stanisław Siedlecki, Poznań 1992, red. R.W. Schramm [...]). Byłem przypadkiem świadkiem spotkania i wymiany wrażeń ze Stanisławem Siedleckim w Pięciu Stawach, który przypadkiem tam przebywał, zespołu Strumiłły, który po dokonaniu drugiego przejścia zimowego tam zszedł. Dokładnej daty tego spotkania ani nazwisk zespołu Strumiłły, poza jednym Strojnym, nie pamiętam.
Ich przejście byłoby więc pierwszym jednodniowym. O ile pamiętam, Siedlecki nie wspominał o wykorzystaniu przy pokonywaniu drogi liny pozostawionej poprzedniego dnia. Przy naszym przejściu wyposażony byłem wyłącznie w czekan o długim drewnianym stylisku i raki, być może 10-zębne. Zapamiętałem tę drogę jako najtrudniejszą, jaką przyszło mi pokonywać zimą w Tatrach.

3) Zaawansowana próba przejścia diagonalnej drogi na ścianie Kotła Kazalnicy, nigdzie zadowalająco nie opisanej. Partner Roman Łazarski. 31 XII 1959/01 I 1960. W kominie, w jaki przechodzi diagonalna rysa, wspinałem się zapieraczką wibramem po ścianie komina i rakiem po lodospadzie, aż do wygodnej nyży, gdzie spałem w przemoczonych pyłówkami drelichach. Romek mniej wygodnie niżej. Rano odwrót zjazdami. Na drugi dzień bezskutecznie szukaliśmy zasypanych (jak się okazało) w Żabiej Dolinie Białczańskiej Biedermana i Panfila.

4) Północna ściana Wysokiej w górnych partiach, wskutek pobłądzenia, kominem w lewo od właściwej drogi (prawdopodobnie pierwsze przejście takiego wariantu) i z obejściem wierzchołka po południowej stronie. Towarzysze: Zofia Siwak i Jerzy Krajski. Działaliśmy w ramach obozu zimowego Koła Warszawskiego KW, pod namiotami przy Żabich Stawkach w Dolinie Mięguszowieckiej, początek lat sześćdziesiątych (?).

5) Lewy filar pn.-wschodniej ściany Rumanowego Szczytu. Partner Andrzej Zawada, 25-26 IV 1956. Nocleg w jamie śnieżnej pod uskokiem szczytowym.
Szliśmy na tę drogę jako zimowy problem. Po zejściu do Popradzkiego okazało się, że przed nami pierwsze przejście drogi zrobili Słowacy. W Kaczej przeczekiwaliśmy prawie tydzień niepogodę –

z Markiem Karpińskim i Jankiem Zarębskim. Mieszkaliśmy razem dość luksusowo w tzw. Kolebie Vogla (po prawej stronie stawu), zamykanej na normalne, domowe drzwi (przyniesione tam przez Pawła Vogla). Marek i Janek robili przed nami pierwsze zimowe wejście od północy na Gankową Przełęcz a my z Andrzejem ubezpieczaliśmy ich systemem umówionych obustronnych znaków i sygnałów. Jako data słowackiego przejścia Lewego Filara bywa podawana data 22-24 IV 1956, czyli w czasie naszego zamieszkiwania w Kaczej, co wtedy oczywiście nie miało miejsca.
Nasza wspólna fotografia z Andrzejem, zamieszczona w monografii Andrzeja pióra Trybalskiego (str. 153), powtórzona zresztą z dawniejszej książki Anny Milewskiej, nie jest oczywiście zdjęciem wykonanym „po zdobyciu Rumanowego Szczytu". Takich towarzyskich raczej fotek mieliśmy wiele. W górach i nie w górach, ponieważ do samej śmierci Andrzeja przyjaźniliśmy się (wie coś o tym Maciej Pawlikowski) głównie właściwie na gruncie towarzyskim. Zawadowie byli m.in. stałymi gośćmi w moim rodzinnym domu w Klarysewie koło Warszawy, znanym później z filmu Życie rodzinne Zanussiego, domu, którym Andrzej „popisywał się", ściągając tam znajomych. Nie mając wiele czasu na Tatry, prosił mnie czasem o pełnienie swoistej roli „eksperta od Tatr" i wybranie trudniejszych dróg tatrzańskich na wspólne wspinaczki. Około roku 1960 zdecydowałem się na drogi Łapińskiego – Paszuchy: Kazalnicę, ŻTM i Galerię Gankową.
Z Anną Milewską miałem od dawna na pieńku. Zarówno jej książki, jak i pisana pod jej okiem książka Trybalskiego zostały dokładnie „oczyszczone ze mnie". Chorobę i śmierć Andrzeja bardzo przeżyłem. Zgasła udzielająca się i mnie przez całe dorosłe życie siła jego optymizmu.

6) Grań Wideł z zachodu na wschód, przy mrozie i po dużym opadzie śnieżnym. Partnerzy: Zofia Siwak i Tadeusz Rewaj, kwiecień 1954 (1955?). W ramach obozu KW Warszawa w schronisku przy Zielonym Stawie w Dolinie Kiezmarskiej. Jedno z pierwszych polskich przejść.

7) Próba zimowego przejścia środka pn. ściany Małego Kiezmarskiego Szczytu. Przebyto komin do kociołka pod Niemiecką Drabinę. Odwrót zjazdami z powodu przemoczenia ubrań i sztywnienia sizalowych lin. Partnerzy: Jasio(?) Wania Zacharzewski oraz osoba, której nazwiska nie pamiętam. W ramach obozu jak wyżej.

Taternictwo epoki, o której piszę, uważam za wręcz inną dyscyplinę sportu niż późniejsze, z którym zetkąłem się, głównie już w latach 80., jako instruktor. A to z powodu ewolucji, jaka nastąpiła w wyposażeniu, sprzęcie i.....wspinaczkowego (spity).

Gratuluję Koledze kolejnego monumentalnego
dzieła i łączę najlepsze pozdrowienia

Władysław Malinowski

Spotkanie Wegantów w Rzędkowicach

W ostatnią sobotę i niedzielę września pod Okiennikiem Rzędkowickim spotkali się Weganci. Tradycyjne już spotkanie uświetniła piękna wrześniowa pogoda. Zdjęcia udostępnił Wojciech Kapturkiewicz – bardzo dziękujemy. MKi

Mountaineering Day w Waszyngtonie

We wrześniu 2022 r. w Waszyngtonie świętowano Mountaineering Day – Dzień Alpinizmu. Obchody te zostały zorganizowane wspólnie przez kilka ambasad i cieszyły się dużym zainteresowaniem publiczności. Na polskim stoisku znalazły się książki i różne materiały dotyczące historii polskiego alpinizmu. Wśród książek pokazano m.in. serię przewodników alpinistycznych Jana Kiełkowskiego („Mountaineering Monograph") po Himalajach i Karakorum. MKi

Zdjęcia z imprezy udostępniła Ambasada RP w Waszyngtonie.

WEGA – SUPLEMENT

Bachmann, Franz (t. VI, str. 45), austriacki alpinista zmarł 24.07.2019 w Riehen. MKi

Bajo, Ivan (t. VI, str. 49), słowacki taternik i alpinista zmarł 15.07.2022. MKi

Baryła, Janusz (t. VI, str. 63), polski taternik i alpinista, speleolog i eksplorator, instruktor taternictwa oraz taternictwa jaskiniowego zmarł 27.04.2022. MKi

Bednarz, Alicja (t.VI, str. 70), polska taterniczka i alpinistka zmarła w grudniu 2022 roku.

Eccles, James (t.VI, str. 215), uzupełnienie
Brytyjski alpinista i geolog był członkiem towarzystw geologicznych: Manchester Geological Society (w 1872 wiceprezes tej organizacji) i Geological Society (w latach 1867–1915). Autor licznych publikacji, m.in.: *On the excursion to Holcolme Hill*, „Transactions of the Manchester Geological Society", Vol. 7, str. 36; *Relations of the sedimentary and crystalline rocks in the chain of Mont Blanc and its immediate vicinity*, „Transactions of the Manchester Geological Society", Vol. 10, s. 70; *The Brouillard and Fresnay glaciers*, „Alpine Journal", 1878; *The Rocky Mountain Region of Wyoming and Idaho*, „Alpine Journal", IX, str. 241. MKi

Hasse, Dietrich (Dieter), niemiecki wspinacz skałkowy i alpinista zmarł 20.04.2022.

Kolbuszewski, Jacek (t. VI, str. 409) uzupełnienie: taternictwo uprawiał w latach 1957–1962, działał w Kole Wrocławskim Klubu Wysokogórskiego. Zmarł 10.09.2022 we Wrocławiu. MKi

Kowalczyk, Marek (t. VI, str. 422), uzupełnienie: polski taternik i alpinista urodził się w 1948 roku – zmarł we wrześniu 2022. MKi

Kowalewski, Ryszard (t. VI, str. 422), uzupełnienie
Polski taternik i alpinista 20 kwietnia 2022 został przyjęty do elitarnego klubu alpinistycznego GHM – Groupe de Haute Montagne. MKi

Mahkota, Ante (Anton, t. VI, str. 479), uzupełnienie
Pionier nowoczesnego słoweńskiego alpinizmu zmarł w grudniu 2018 roku. Był także dziennikarzem, wydawcą i autorem książek i artykułów o tematyce alpinistycznej i wspinaczkowej. W roku 1963 uczestniczył w pierwszej słoweńskiej wyprawie w Kaukaz Centralny, a w 1967 w Pamir, gdzie brał udział w trawersowaniu w stylu alpejskim masywu Piku Lenina. Opublikował m.in. autobiograficzną książkę *Sfinga* (1979). Na jej podstawie Vojko Anzeljc zrealizował film dokumentalny (2011). MKi

Malte-Brun, Conrad (Malthe Conrad Bruun) (12.08.1775 Thisted w Danii – 14.12.1826 Paryż), francuski geograf pochodzenia duńskiego, działacz polityczny, dziennikarz; studiował na uniwersytecie w Kopenhadze. Skazany na banicję w 1800 roku, osiedlił się w Paryżu. Autor, współautor i wydawca wielu opracowań geograficznych, m.in.: *Annales des voyages, de la géographie et de l'histoire* (1808–1815), *Tableau historique et physique de la Pologne* (1807), *Précis de la géographie universelle* (1810–1829), *Nouvelles annales des voyages* (1819–1826). Był jednym z założycieli i pierwszym sekretarzem Paryskiego Towarzystwa Geograficznego (Société de Géographie de Paris). Jego imieniem lub imieniem jego syna Victora-Adolphe (1816–1889), również geografa i kartografa, nazwano szczyt Mount Malte Brun (3157 lub 3176 m; t. V, str. 215) oraz pasmo (Malte Brun Range) w Alpach Południowych Nowej Zelandii. MKi

Michnowski, Andrzej (t. VI str. 513), uzupełnienie daty – polski taternik i wspinacz ekstremalny urodził się 19.09.1949. MKi

Miedwiediewa, Jelena Władimirowna (ur. 5.04.1986), alpinistka rosyjska (mistrz sportu), z zawodu lekarka okulistka, absolwentka Rostowskiego Uniwersytetu Medycznego w 2009. Zaczęła się wspinać w 2003 roku. Cztery lata później weszła na Pik Lenina (2007), a następnie na Pik Korżeniewskiej (2008) i Kirpicz (6A, 2009). MKi

Młokosiewicz, Ludwik Aleksander (25.08.1831 Omięcin – 04 (lub 5).08.1909 w Dagestanie), polski podróżnik, alpinista, przyrodnik (botanik, zoolog), badacz Kaukazu. W młodości służył w wojsku, w Dywizji Kaukaskiej. W roku 1879 został nadleśniczym w Łagodechach, u południowego podnóża wschodniej części głównego łańcucha tych gór. Prowadził działalność na rzecz ochrony przyrody, zwłaszcza w rejonach Kaukazu. Podejmował próby wejścia na wysokie szczyty Kaukazu i ówczesnej Persji. W 1878 wyruszył na Damawend, lecz z powodu porażenia słonecznego musiał się wycofać. W 1889 z córką Julią i synem Konstantym zorganizował wyprawę na Ararat (5156 m). Wierzchołka nie osiągnięto, ale Julia Młokosiewiczówna dotarła do wysokości ok. 5100 m, co było wówczas polskim kobiecym rekordem wysokości. Prowadząc badania przyrodnicze Kaukazu, Młokosiewicz przekazywał liczne obiekty do muzeów oraz

instytucji naukowych, m.in. do Muzeum Branickich w Warszawie (Frascati) i do Warszawskiego Gabinetu Zoologicznego przy uniwersytecie. Jego liczne zbiory znalazły się w muzeach rosyjskich. W 1896 roku Muzeum Zoologiczne przy Akademii Nauk w Petersburgu nadało mu tytuł członka-korespondenta. Jego imię noszą m.in. cietrzew kaukaski (*Lyrurus mlokosiewiczi*) i piwonia Młokosiewicza (*Paeonia mlokosewitschii*). MKi
Lit.: B. Hryniewiecki, *Ludwik Młokosiewicz miłośnik i badacz przyrody Kaukazu (1831-1909)*, „Wszechświat" str. 136-139; Wacław i Tadeusz Słabczyńscy, *Słownik podróżników polskich*, Warszawa 1992.

Nangeroni, Giuseppe (5.12.1892 Mediolan – 23.03.1987 Mediolan), włoski geolog, geomorfolog; profesor geografii, wykładowca na Mediolańskim Uniwersytecie Katolickim, honorowy członek Comitato Glaciologico Italiano (Włoskiej Komisji Glacjologicznej). Studia przyrodnicze ukończył w 1919 roku na włoskim Università di Pavia. Jego prace naukowe (ponad 200), najogólniej poświęcone były geografii fizycznej; główne zakresy jego działalności badawczej to lodowce, morfologia peryglacjalna i lodowcowa, kras i czwartorzęd Alp i Prealp Lombardzkich. Autor licznych książek i innych publikacji, m.in.:
Geografia e Geologia (1924); *La forma delle Dolomiti* (1939); *Geografia dell'Europa* (1952);
Geografia Generale e Astronomica (1952); *Appunti per una revisione del catalogo dei ghiacciai lombardi* (1953); *Asia e Africa. Geografia dei continenti extraeuropei*, Vol I-II. (1955);
Appunti di geomorfologia sul M. Clemo e dintorni (L. d'Iseo) (1957);
Les phenomenes periglaciaires en Italie (1961);
*Ghiacciai delle tre Venezie (escluso Ortles-Cevedale) e dell'Appennino. Catasto dei ghiacciai italian*i; 4 (współautor, 1962);
I monti dell'Alto Lario Occidentale. Note di geomorfologia (1968);
Appunti sulla geomorfologia dei Piani di Bobbio e di Artavaggio (Prealpi Lecchesi), (1969);
Lhotse ,75. Spedizione alpinistico - scientifica del C.A.I. all'Himalaya del Nepal. Le osservazioni scientifiche. Relazioni del gruppo scientifico, (współautor, 1976);
Il Catasto dei laghi alpini italiano. Primo tentativo di un Catasto dei laghi alpini della Provincia di Cuneo (1978);
Primo tentativo di un Catasto dei laghi della Valle d'Aosta (1981).

Club Alpino Italiano wydał jego następujące publikacje:
Da Milano al Piano Rancio attraverso Como e il Pian del Tivano. Itinerario geomorfologico e geologico di Giuseppe Nangeroni con appunti botanici stesi da E. Tagliabue e zoologici stesi da A. Pozzi (współautor, 1971)
Da Chiavari al Maggiorasca sui Monti Aiona, Penna, Meggiorasca (współautor, 1976);
Una escursione geomorfologica al Monte Ponteranica (Val Brembana), 1978;
Sui monti di Val Cadino e di Val Bazena tra il Frerone e il Cornone di Blumone. (Adamello meridionale), 1974. MKi
Lit.: Bruno Parisi, *Giuseppe Nangeroni*, „Bollettino del Club Alpino Italiano" nr 87, str. 3–10.

Wiśniewski, Mirosław (t. VII, str. 238), polski taternik, alpinista i grotołaz zmarł 16.12.2022.